

**JÓZEF IGNACY
KRASZEWSKI**

SYN JAZDONA

Józef Kraszewski

Syn Jazdona

«Public Domain»

Kraszewski J.

Syn Jazdona / J. Kraszewski — «Public Domain»,

Pawlik, syn Jazdona herbu Połkoza, w roku 1241 ma 19 lat. Chłopak jest lekkoduchem, spędza czas na zabawach i pijaństwie, a jego wybryki budzą grozę wśród okolicznej ludności. Podczas najazdu Tatarów na Polskę Pawlik bierze udział w bitwie pod Legnicą, gdzie cudem uchodzi z życiem, ale te doświadczenia nie zmieniają jego zachowania. Mija 25 lat i Pawlik wykorzystując intrygi i podstępny zostaje biskupem krakowskim. Czy to wydarzenie zmieni jego charakter oraz podejście do innych ludzi? Józef Ignacy Kraszewski był pisarzem niezwykle płodnym. Ważne miejsce w jego dorobku stanowią powieści historyczne — jedną z nich jest właśnie Syn Jazdona, książka wydana w 1880 roku weszła w skład cyklu Dzieje Polski.

Содержание

Tom pierwszy	5
PROLOG	6
I	6
II	13
III	20
IV	27
V	34
VI	42
I	52
Конец ознакомительного фрагмента.	55

Józef Ignacy Kraszewski

Syn Jazdona

Tom pierwszy

Dr. WEJGLOWI
WICE-PREZYDENTOWI MIASTA KRAKOWA
na pamiątkę z Nim odbytej podróży
ofiaruje

Autor
Drezno.
Listopad 1879 r.

PROLOG

I

Szaro było na ziemi i niebo oponą się szarą oblokło. Nad źródłiskami ciepłymi ledwie gdzie wątła, blada majączyła zieloność niby wiosenna, ponad którą sterczały zeschłe, trupie badyle i wymokłe trawy przeszłego lata.

U strumieni stojące wierzby już się okrywały puchem, jakby nim przyszłe liście od chłodu otulić chciały, – lecz liści jeszcze nie było i pączki stały szczelnie otulone i zamknięte. Wcześniej przybyłe bociany smętne włóczyły się po dolinach, stały u moczarów strzepując skrzydłami zmęczonemi długą podróżą.

Ponad rolami ulatywał skowronek, patrzył w niebo a piosnkę mu chłód w dzióbku tłumił, i oczy próżno niebios lazurowych w górze szukały.

Smutno było po świcie, tylko stada kruków unosiły się w powietrzu gwarliwe, krzykliwe, wesołe jakimś straszmem naigrawaniem się tej żalobie. – Co przysiadły na suchych drzew gałęziach, to się zrywały kołować w powietrzu. I wirowały niby pijane, to podnosząc się do góry, to spadając, szukając jakiejś pastwy obiecanej.

Aby dojrzeć kędy ona była, zrywały się tak czasem w obłoki, a nie dojrawszy jej spadały na drzewa i ziemię. – Ze wszech stron nadciągały one chmurami jak na zawołanie wiecowe, jak po wiciach do wojny. Gdy się spuściły na łąkę czerniała od nich, ruszała się jakby potwora legła na niej, a gdy się zerwały w obłoki, wiły się w nich jak smok czarny – a gdy krakały, nie słychać było ani szumu drzew, ani pochwistu wiatru, ani szczebiotania innego ptactwa, ani mruczenia strumieni, które od deszczów i śnieżysk wezbrały...

Na pustej dolinie, u skraju lasu chata stała, zamiast płotu obrzucona gałęźmi na kupę nagromadzonemi wysoko, tak wysoko, że ledwie z po za nich dach słomiany, okopcony, z odartym dymnikiem widać było. Sama sobie na ustroniu, wśród puszczy stała chizyna niby straż wysunięta – niby zabity kół na znak, że się tu życie poczynać miało ludzkie, gdzie niedawno zwierz i pustynia panowali sami.

Po nad dachem dymiło, jak opar szły wszystkimi szczelinami kłęby sine i wisiały nad nim leniwe, a snuły się senne dokoła i kładły aż na dolinie. – W górę się im chciało, aby wiatr nie poszarpał na sztuki.

Wrota stały otworem, jakby już trzoda wyszła na paszę w las, na młode gałęzie i pączki. Kiedy niekiedy mimo wrót przemknęła biała spódnica niewiasty i znikła. Naprzeciw nich pies kudłaty duży siedział i patrzył w dal, to ziewając, to burcząc.

Na stada krucze co spojrział to drgnął, zrywał się jakby na nie chciał rzucić, ale rozum jego psi powiadał mu, że przeciw nim niemocen był.

Ciągnął powietrze nosem. Wiatr mu różne wieści przynosił, psisko się od nich zrymało, rozumiejąc tę mowę woni, która doń przylatywała zdaleka. – Dla niego były w niej i od zwierza w lesie wiadomości i od ludzi wieści i od obcych włóczęgów śwedy i z góry od niebios przestrogi i z dołu ziemskie języki.

Dlatego pies nosa nastawiał, a głową rzucał. Dużo mu przychodziło, nie wszystko rozumiał, zrymał się coraz więcej, coraz mocniej, aż wstał, zerwał się jak do chodu i siadł znowu i rzucił się ze szczekaniem naprzód – i cofnął, głowę opuszczając zadumany.

Dziewczę się wysliznęło z chaty, przyszło go pogłaskać. Odwrócił łeb, polizał rękę, ale na straży pozostał, miał poczucie obowiązku... Uszy mu się jeżyły i sierść na grzbiecie pręgiem długim rosła do góry.

Wiatr znużony przypadł gdzieś w lesie, zrobiło się cicho. Kruków stado pociągnęło nad lasy, puszcza szumiała teraz sama głucho i posepnie.

Wśród milczenia tentent i krzyki rozeznac było można, tentent jakby pędzonej trzody, krzyk jakby ludzki, urywany, to szyderski, to przelękły – poza nim śmiech i hukanie.

Pies stał i trząsał się cały, zerwał się, odbiegł naprzód kroków kilkanaście, a czując się bezsilnym przysiadł, pysk do góry podniósł – zawył.

Wył urywano, bo słuchał razem, oczy mu się iskrzyły – sierść już jeżyła cała.

Z drugiej strony doliny, przesmykiem z lasu biegła ku chacie pędem, rozbita, rozproszona trzoda owiec burych, czarnych i białych. Przodem było z ogonami poddartemi do góry. – Po dolinie rozsypało się to na wszystkie strony w popłochu, jak szalone dróg szukając ku chacie.

Tuż za trzodą, za bydłem, za krzyczącymi pastuszkami, przemknął się konny człek, z nim dwu jeszcze i psów zgraja. Psy się niosły za owcami dusząc je, chwytając, kalecząc, a co który zgniótł i do ziemi przybił barana – z koni się odzywały wesołe okrzyki.

Tętnienie i wrzawa obudziły ludzi w chacie, wszystko wybiegło ku wrotom. Stary z włosy siwemi, niewiasta w zawiciu białem, dziewczeczka w wianku z kosami długimi, chłopie małe na pół nagie.

Pies jak wściekły ujadał, ale bezsilny cofał się też ku wrotom i wył. Tuż było spłoszone co przodem biegło, poczęło nie bacząc na ludzi jak szalone cisnąć się we wrota. Owce, które uszły psich zębów, jak pijane na podwórko wpadły. Tuż za nimi ogromne molossy z pokrwawionymi paszczkami gnały, za nimi na koniach trzech jeźdźców.

Gonili weseląc się, śmiejąc, hukając.

Pierwszy, co przodem jechał, panem był albo pańskim synem... bo i koń pod nim ubrany a piękny z nozdrzami rozdartymi, z oczyma pałającymi czuł, że dźwigał na sobie takiego, co wszystko rozbijać ma prawo.

Paniątko co na nim siedziało, ledwie z lat dziecięcych do młodzieńczych dochodziło. Wyrostek był smukły, giętki, silny, twarz cała ze zmęczenia aż krwawa, oczy czarne a ogniste, włos na ramionach długi, nad czołem kołpaczek z piórami, na nim suknia cała bramowana, cała szyta, obwieszana w sznury, róg przez ramiona pozłocisty, łuk kowany, pas nabijany, nóż u boku świecący. Cała ta ozdoba nie stała za nic przy obliczu chłopaka tak zuchwałem, tak rozpalonem radością dziką, szalem jakimś, iż zdawało się świat do boju wyzywać. W rękę żyłastem podnosił do góry oszczepek i machał nim psy swe zagrzewając.

– A! huź!!

Z otwartych ust jego zęby białe choć się śmiały, zdały się kąsać, wargi krwawe trzęsły się, na młodych policzkach drgała krew rozszalała – pijany był sobą i młodością.

Dwaj towarzysze jego lecieli za nim też bez głów, krzykiem jego jak psy zagrzewani, ale wśród tego szafu gdy spojrzeli po sobie, przebiegał ich jakiś strach, nagle im coś usta zamykało, obawa czy litość.

Psy, jeźdźcy, trzoda, wszystko razem niemal ścisnęło się we wrotach, które starzec napróżno chciał zamknąć...

Rzucił je w końcu. I on i niewiasty zbiegać poczęli przerażeni do chaty. Dziewczę tylko wyrostek, któremu owiec żal było, a strach nogi podciął, zawięzło w progę.

Z konia piorunem skoczył panicz i pochwycił ją już w pół mdlejącą i krzyczącą. Spojrzawszy w oczy załzawione niebieskie, porwał na konia, który zbywszy pana otrząsał się właśnie... Dwaj towarzysze stali osłupieni, gdy już chłopak ze swą zdobyczą mdlejącą a wyzywającą ratunku, począł znów dosiadać siwego.

– Hej! to łup! to łup, na którym ja czyhał dawno! – krzyknął zanosząc się dziko – do lasa z nią!

Dziewczyna ręce podnosząc wołała ratunku.... lecz drzwi chaty stały zaparte, nikt nie śmiał wybiedz na obronę, tylko pies jeden za nogę pochwycił panicza, ale wnet dwa ogary z krwawymi paszczkami padły nań i zdusiły.

W podwórku już one dużo nagospodarowały. Młody byczek leżał rozciągnięty na ziemi z oczyma zeszkłonymi, a z gardła mu ciekącą krew chciwie chleptały psy... Kilka owiec dyszało i broczyło.

Chłopak śmiał się wielkim głosem.

– Do lasu! – wołając. – Uszłaś ty mi nieraz, gdym cię gnał na jagodach... przyszedł na ciebie czas...

Drzwi chaty otwały się nagle, wypadł z rękami załamanymi siwowłosy.

– Zlitujcie się! zlitujcie! – jęczał.

Na krzyk jego psy pańskie przybiegły i poczęły na nim szarpać odzienie, poczęły kąsać ciało...

Nie czuł tego i wołał.

– Zlituj się!

Młody szaleniec nie słuchał. Dwaj pachotkowie pobledli, z ich twarzy zeszedł szal, strach i groza je ściągnęły. Patrzali na pana – to na siebie. Wahali się. – On nie zważał na nic, w silne ręce ujawszy dziewczę sadzał je już na konia i sam za niem się sadowił.

Stary, którego psy szarpały, włokąc je za sobą przybiegł i jęcząc pochwycił go za nogi. Z chaty zawodząca płacząco ukazała się niewiasta, ręce łamiąc nad głową i wyjąc nieludzkim jękiem.

Wszystkiego tego chłopak nie słyszał, koniowi ściągając wodze i już do wrót się mając z dziewczyną.

Wtem we wrotach nagle jeździec się ukazał.

Człek był stary na silnym koniu, w prostej opończy z głową nieokrytą. Przez plecy miał sznur z trąbą myśliwską z prostego rogu.

Siwe włosy wiatr mu porozrzucił i na ramiona i czoło rozsypał. Twarz bladą miał jak trup, oczy zagasłe a straszne, czoło pomarszczone w grube wały – pierś szeroką, dyszącą. Siłę w nim czuć było wielką i moc jakąś, taką, że gdy się jego oczy z wejrzeniem chłopca spotkały – czerwony, oszalały panicz zbladł, zęby mu się ścięły jakby zgrzytał.

– Szatan cię tu przyniósł, Wojusz! – zakrzyczał nagle wściekając się ze złości i próżno usiłując się wrotami wymknąć z dziewczyną.

Wojusz w poprzek ich stał jak mur, mówić jeszcze nie mogąc dyszał, a choć nie mówił, oddechem tym był groźny – wrzało w nim.

– Pawlik! – puść mi wnet dziewczynę! – zakrzyczał wręcz głosem ogromnym...

Coś było w tym głosie rozkazującym takiego, że ręce co trzymały pochwycony łup, siłę straciły i dziewczę skorzystawszy z chwili tej, wysliznęło się jak wąż, zsunęło na ziemię, padło ku starcowi, który je pochwycił, a z nim do chaty... Drzwi jej zawarły się z łoskotem ogromnym.

Psy, które za uchodzącymi goniły, mordami biły o drzewo – wewnątrz zapadała zaporą.

Pawlik, gdy mu się zdobycz wymknęła, już nie za nią, ale na Wojusza wściekły jął się miotać i oczyma błyskać groźno. Ten się nie uląkł. Patrzali tak na siebie wojując wejrzeniami piorunującymi – aż chłopię głowę spuściło.

Stary Wojusz dyszał zgrozą, rozpaczliwą boleść jakąś widać w nim było.

– O ty niegodny synu Jazdona! – począł głosem grubym i warczącym. – Ktoby w tobie poznał ojca? Na to my cię wypiaستowali, na tom ja na rękę nosił, abys na zbója wyszedł i zbytnika? Jeszcze ci się wąs nie wysypał...

Podniósł pięść do góry...

– Za mną! na zamek! – dodał – za mną! Tym razem ja nie utaję przed starym, nie! Dostyc tych psot... My cię nie utrzymamy, ja stary, na ciebie żelaznej ręki potrzeba.

Popatrzał na krwawe psów ofiary.

– To twoja zabawa! to twoje łowy! Mało ci zwierza w lesie, byś biednemu zagrodnikowi trzodę dusił psy twojemi, wściekłemi jak ty! i dziecko mu chciał porywać.

Pawlik jak skamieniały słuchał, ale gniew w nim drgał.

Wojusz skinał.

– Na zamek! Psy na sznury! służbo ty pana warta!

Odwrocił się do dwu pacholków, którzy wnet skoczyli z koni.

Pawlik jeszcze stał niemy, gdy Wojusz powtórzył głośniej.

– Na zamek!

Młody odwrócił głowę i zamruczał.

– Długo ty mi myślisz rozkazywać? ty?

– Póki mnie ojciec twój od tego ciężaru nie zwolni – odparł Wojusz, – dopóki ja za ciebie odpowiadać muszę Bogu, Jazdonowi i pamięci twój matki.

– Na zamek! – powtórzył raz jeszcze.

Ale chłopię zuchwałe, uparte, nie ruszało się.

– Związać każę i powiozę jak barana! – krzyknął stary. – Potem ojcu do nóg padnę, niech z wami robi co chce. – Mnie już was dosyć! Wolę śmierć niż dozór nad tobą.

Na zamek!!

Psy już były na sznurach i zmęczone posiadały dysząc, a krwawe liżąc pyski. Pacholki posłuszni dosiedli koni, tylko Pawlik się nie ruszał. – Wojusz przybliżył się doń, konia mu za uzdę targnął. Młodemu ręka drgnęła, w której oszczep trzymał, jakby się bronić chciał – i opadła. Zamruczał coś, spuścił głowę i koniowi dał ostrogę.

Milczeli wyjeżdżając z podwórka, tylko Wojusz gniewem dyszał jeszcze. Pawlik ze złością spoglądając na starego dał się koniowi za nim ciągnąć, pacholki wlekli psy za sobą.

Wyjechali tak z podwórza a drzwi chaty jeszcze się odemknąć nie śmiały i byli już o staj kilkoro, gdy naprzód okno się otwarło i głowa siwa wysunęła, potem chwiejąc się na pokrzwawionych nogach wybiegł siwowłosy ręce łamiąc – stanął, posoką oblane pobjowisko oglądać. U progu leżał stary druh domowy, pies z wywieszonym językiem i wysadzonemi z pod czaszki oczyma.

Przodem Pawlika puściwszy, w ślad za nim jechał Wojusz, opodal ciągnęli szepcząc z sobą pacholki, których odeszła ochota i wesele. Chmurno spoglądali to na siebie to na panicza, to na starego, który w pole wyjechawszy, gdy powietrza w piersi szerokie wciągnął, splunął raz i drugi, i groźnie spojierając na milczące chłopię, począł wywoływać w pół do niego, pół do siebie.

– A! piękny to mi syn mężnego Jazdona, Comesa na Przemankowie, co go książęta we czci mieli i do rady przyzywali, którego Leszek, błogosławionej pamięci, choć chorego, na każdy sąd wyzywał, a gdy on słowo rzekł, ważyło ono za dziesięć innych!

A! piękny mi syn rodzica sławnego, dobry wychowanek starego Wojusza, co go od kolebki rozumu uczył i cnoty! Na co się to wszystko zdało? Na co? Groch o ścianę! Jakiem źdźbło było, gdy kielkowało, takim i wyrosło – badylem. W kolebce niańkom włosy obrywał i twarze drapał, psy i koty męczył – teraz bydlu i ludziom pokoju nie daje!

A piękny to syn Jazdona! dobra rodzicowi pociecha! Puść go z oczów na godzinę, nie wycierpi żeby krwi nie pokosztował, psoty komu nie wyrządził, biednym ludziom nie zalał za skórę!

Syn Jazdona! – powtarzał stary, to śmiejąc się szydersko, to buchając niemogącym utamować gniewem.

Burczał tak a młody jak pod chłostą jechał z głową zwieszoną, nie odwracając się, jakby nie słuchał. Czasem konia spiął aby od tych słów uciec, ale stary go doganiał.

Choć Pawlik się nie odwracał i nie chciał dać poznać po sobie, że czuł gorące słowa, które go smagano, wydawał się z tem mimowoli iż cierpiał. Drgały mu ramiona, ręce ściągał, – pięści ścisnął, głowę rzucał nie zwracając jej, nogami konia dusił. Trzymał tak w sobie młody gniew, aż wreszcie buchnął...

– E! ty – stary wywłoko! milczałbyś! Grzybie zgniły! W tobie już krwi nie ma i kropli – to siedz u ognia... grzej się, a młodym tobie nie rozkazywać. Myślisz że mnie ty czy kto słowem czy pięścią strzyma, kiedy we mnie krew zagra i zakipi? albo że ją klecha zażegna? albo ją strach zastudzi?

Rozśmiał się dziko i szydersko.

– A pocoby mnie życie, gdybym je miał związany w kącie pędzić! Mnichem nie jestem, mnie trzeba swobody... ja muszę wszystkiego pokosztować i nacieszyć się życiem... Na pokutę i na gnicie dość będzie czasu.

– A któż ciebie będzie trzymał w jamie i kuł w dyby – zakrzyczał stary sierdzysto. – Puszczą cię przecie! puszczą w świat! Masz ledwie dziewiętnasty rok. Pójdiesz! pójdiesz! abyś tylko powrócił... A no, dziś ty jeszcze chłystkiem!

– Nie! – zaprzeczył Pawlik. – Nie! Krzywoust młodszy był gdy wojował, drugim żony dawali w tym wieku! a ja co? W podwórku mi każą biegać, jak koniowi na postronku, za wrota ni rusz! Książd pół dnia więzi nad księgą, trzyma i w łeb kładzie co mi na nic! Pisarzem ja nie będę... ani kanclerstwa chcę! Ty, ciemiego, włóczysz się za mną jak cień, abym sam sobie nawet nosa nie utarł. Co za dziw, że gdy się wyrwę to szaleję? E! ty, stary! niby ty nie wiesz, że jak hacją wodę zaprziesz, to ci ona i hać i młyn i dom wyniesie!

Stary zzymnął się, zły był jeszcze, ale widać było, że wymowa chłopca nań działała, niemal się nią cieszył. – Rozbrajała go. Uśmiech po ustach mu się prześliznął. Wszelako chciał być nieprześląganym i gniewnym.

Jechali dalej tak, sporząc ciągle.

– O! kaznodzieja z ciebie dobry! – mówił stary. – Więcej u ciebie języka niż statku! Żeby cię, jako teraz, na gorącym uczynku złapać, potrafisz się wyłgać! Chłystek, mleko pod nosem, a już mu cudzej dziewczyny się zachciało! Coś ty powinien wiedzieć o dziewczkach, ty, coś niedawno na pasku chodził!

Pawlik parsknął i nic nie odpowiedział, – a gdy stary zmilkł, mruknął.

– Toćbym jej był nie zjadł! A co wielkiego zagrodnika dziewczka, żeby jej panu tknąć broniono? Jak grzyb wyrosła na mojej ziemi...

– Milczałbyś gołowąsie jakiś! – przerwał stary. – Dość mi tego! Myślisz, że Jędrrek nie przyjdzie do miłościwego naszego na skargę? A toć mu pół trzody twe psy niepoczciwe wydusiły! jego pokąsały, a dziewczka odchoruje ze strachu.

Pawlik się znów rozśmiał.

– Dziewka ma chorować ze strachu! – krzyknął. – Porzućże stary. Widziała zem ni wilk ni wilkołak i krwi jej pić nie będę. Jutroby się była śmiała...

Lekceważył coraz bardziej gniew starego, przychodząc do siebie i już poświstywać począł. W tej wesołości udanej było jednak nieco trwogi.

– Staremu Jędrkowi, – dodał – za trzodę i za strach co się da.

– Kto da? co da? – wrzasnął Wojusz. – Ty chłystku nic nie masz, na łasce ojcowskiej jesteś! Z panem ojcem, ty wiesz! nie żarty!

Pawlik za całą odpowiedź ramionami poruszył.

– Na pół on martwy – ciągnął Wojusz dalej, – ale tej połowy, co żywa została dosyć będzie, aby ci dobrą dał pamiątkę.

– Gdy ty mnie zaskarżysz! ty – wtrącił Pawlik.

– A ja mam zataić? duszę gubić? tobie dać szaleć, abyś się do reszty rozwydrzył – zawołał stary.

– A! niedoczekanie twe! Miałem ja litość nad tobą, dosyć, nadto... Czas cię w żelazne kleszcze wziąć!

– Czas mi wolę dać! – przerwał młody.

– Ufasz w to, zem ja cię wyniańczył, twoje psoty pokrywał – ale już tego dość! dość!

Wyjeżdżali z doliny i zarośli, na polu, na wzgórzu widać było zagrodę dużą, wały i wodę dokoła, z pośrodku drzew sterczące dachy, półwieżyce i strażnice.

Był to gródek Przemankowski. – Do niego jadąc tak jak oni jechali, już i pół godziny drogi nie było...

Młody musiał wszakci na ten czas przeciąg rachować, iż on starczy aby mu się stary Wojusz wyburzył. Zwalniał kroku dla większej pewności, tak, że jadący równo z nim stary, stanął obok z koniem – i pierwszy raz sobie znowu w oczy spojrzeli.

Młody, w którym już ostygło, uśmiechał się, stary burczał ochłonawszy też znacznie. Pot tylko z czoła ocierał.

Jechali dobry czas nic nie mówiąc do siebie.

Chłopak teraz, gdy się w nim namiętności ukołysały, krew wzburzona uspokoiła, wyglądał ślicznie, rozkwitły bujną młodością.

Samo szaleństwo jego miało pewien wdzięk, któremu mógł się dać ująć stary dozorca. Łatwo to pojąć było.

– Żebyś był do stajen nie poszedł, chorego konia pańskiego opatrywać – odezwał się Wojusz – konia, na którym on już nigdy siedzieć nie będzie, a codzień go sobie przyprowadzać każe... żeby nie ten koń! nie byłbym ci ja dał się wyrwać ze psy i z temi psubraty, co za tobą poszli na rozpustę! ... Co tobie ojciec sprawi, łaźnię czy kaźnię – to jego rzecz – ale że ja (dodał zwracając się z pięścią do jadących z tyłu), że ja tym łożami do krwi skórę wygarbuję, to tak pewna jak żeś dziś żyw, i że się zowie Wojusz Sowa, i żeś zawołania Półkoza, i żeś ciebie na trutnia wychował...

– A wiesz, czemuś mnie na trutnia i nicponia wychował? – dosyć chłodno odparł Pawlik.

– Wiem – bom za dobry był – huknął stary. – Trzeba cię było siec a siec, a tłuc i ducha słuchać, nic nie darować... Jam głupi był i często śmiał się, gdy płakać było trzeba.

– A! nie! nie! – przerwał Pawlik. – Gdybyś ty mnie tak nie niańczył, na pasku nie wodził, dał mi się zawczasu wybrykać, jak chłopskim dzieciom, a zakosztować swobody i guzów sobie nabić, tobym ja teraz na swobodę i guzy tak łakomy nie był...

Stary Wojusz usłyszawszy te słowa, z pewnym podziwieniem głową potrząsł. Może w duszy prawdę im przyznawał, a potwierdzić jej nie mógł i nie chciał.

Zbliżał się już ku dworowi Przemankowickiemu. Wojusz, który niedawno z niego wyskoczył, za zatraconym goniąc wychowawcem, bo wiedział, że gdy się wyrwie, szalonego coś pocznie – patrząc zdala na gródek, głową trząsał, bo się około niego coś działo niezwykłego.

Pusty to był kąt, zaszyty w lasy, gościńce wielkie tędy nie wiodły, rzadko kto obcy zawitał. Około dworu cudzych ludzi ledwie parę razy do roku spotkać było można i to albo do zawołania Półkozów należących, albo zabłąkanych na puszczy.

Teraz zaś pod wałami się roilo ludem. Z kilku stron widać było ciągnące kupki zbrojne, podążające ku dworowi. Niektóre się już były na podgrodziu porozkładały obozami, jakby dla nich w środku miejsca zabrakło.

Widok to był tak niezwykły, że i Pawlik mu się zdumiał.

– Patrzo? co to jest? – zawołał. – Co to tam za ludzie naszli?

– Widzę, ale, Bóg skarż, nie wiem jacy – odparł cały już tem zjawiskiem zajęty i niespokojny Wojusz. – Przecież niedawno z gródka wyjechał, niespodziewano się tam nikogo; o nikim słuchu nie było. To są jakieś zbrojne kupy!

W Pawliku krew zagrała, oczy mu się zaiskrzyły, nie mówił nic. Stary odgadł, że mu się do tych orężnych chciało...

Na rękę też było chłopcu, iż na gródku coś zaszło, co porządek pomieszało i mogło dać o nim zapomnieć. Wojusz tak był zdziwiony i zmieszany tem, że chłopcu przestał czynić wymówki i zapomniał go karcieć.

Ze zmarszczonemi jechał brwiami, myśląc a zgadując, co się stać mogło, iż na starego Jazdona tak najechno.

Jazdon ów, Półkoza, możny sobie pan, za Kazmierza i Leszka w radzie książęcej i na wojnach sławny, do Baronów i Comesów się liczył, póki stało siły około dworu i wojska się zaprzatając.

Po onej Gąsawie nieszczęsnej i po zawieruchach a wojnach książęcych, które potem niemało się lat ciągnęły, ręce mu do wszystkiego opadły... Nie było widoku, aby z nich co dobrego wyjść mogło.

Jazdon miał jedno na sercu i myśli, znowu ową monarchię sławną Mieszków i Bolków przywrócić i władzę w jedną dłoń skupić, a tu się one ziemie i powiaty coraz bardziej rozpadały. Dzielili się książęta, mnożyli, ziemi i grodów ledwie dla nich stało. Każdy sobie brał jakiś spłacheć

i krwawił się on bodaj z rodzonym bratem, bodaj z ojcem, aby co najwięcej ziemi urwać, a potem mieć co między dzieci dzielić.

Już było tedy owych dzielnic nie policzyć a wojen nie powstrzymać. Nad karkiem wisała Ruś i Połowcy, Prusacy poganie i Litwa, co się w siłę wzbijała. Królestwa rosły dokoła silne, wrogów zewsząd wstawały zastępy a w krainie Mieszkowej kotłowało i wrzało, a jadło się co żyło.

Jazdon choć z Leszkiem trzymał wprzód, gdy go nie stało, a książęta Ślązcy, co niemczeli strasznie i także się ziemią dzielili, nie wiele obiecywali; – przystał był duszą i ciałem do Konrada Mazowieckiego.

Krwawy to był pan, straszny człek, ale mąż taki, co mógł wszystkich zwojować i pod jeden płaszcz całą ziemię zagarnąć. Nie było mu co wierzyć, bo słowa łamał, nie można go było kochać, bo on nie miłował nikogo, ale dłoń miał żelazistą, potężną i głowę, w której jedna myśl tkwiła – panować szeroko...

Więc Jazdon mu służył i wspomagał, a cały był z nim, nie zsiadając z konia prawie, bo jeżeli się nie bił, to mu szpiegował, posłował, chwycił jeńców, gotów będąc posługi pełnić najlichsze, aby się raz to ciało na sztuki rozpadnięte znowu zrastać poczęło.

Lecz żaden znój nie pomagał, bo nie nadeszła była jeszcze godzina, którą Pan naznaczyć miał, aby się ten cud stał, o jakim u grobu męczennika Stanisława powiadano, że ciało jego poćwiertowane orłowie znieśli znowu kawałami i zrosło się, jako za żywota było. Jazdon na duchu padł, patrzeć już nie chcąc na kalectwo ziemi swej i jak raz powrócił, mało co cięty w ramię z wojny, obległ już doma i więcej ruszać się nie chciał...

– Oczy moje już nie zobaczą, czego dusza pragnie! – mawiał.

Puścił potem brodę stary, aby rosła, i w Przemankowie swym siadł, a zaraz mu, czy od owego cięcia, czy od tego smutku pół ciała odjęło, tak, że jedną połową żył, a drugą był, jak umarły.

Jedno oko zamknęło mu się na wieki, połowica ust nie ruszała, ręka jedna i noga nie miały władzy.

Przecież leżeć tak, jak kłoda, nie chciał. Całe życie spędziwszy na koniu i na nogach, i teraz nie mógł w izbie usiedzieć. Miał więc dwu ludzi barczystych, niewolników rusinów czy połowców, z postrzyżonemi głowy, silnych jak niedźwiedzie, coby wołu na barkach unieśli. Tym się nosić kazał czasem po całych dniach. Brali go oni na ręce, a lewicę jego, która martwą była, jeden sobie wiązał do szyi, i tak się ze starym po grodzie, po szopach, po wałach włóczyć, dźwigając go, musieli. Mieniali się tylko to na prawo, to na lewo, z kolei przechodząc, boby żaden dnia całego nie wytrzymał po jednej stronie. Stary bowiem zły był, porywczy okrutnie, a gdy się rozsierdził, ręką, która władzę miała, tłukł i bił, lub za włosy niosących go targał, sińce nabijał, ba i do krwi raził nieraz.

Niucha i Mucha, dwaj niewolni, znosili to w milczeniu, ledwie że który się śmiał otrzeć, gdy mu krew popłynęła. Nawykli byli do tego. Karmił ich też i poił, jak bydło na rzeź – co w nich wlało. Mało co przy nim mieli spoczynku, bo i w nocy u proga legiwać musieli na zawołanie, a stary, gdy mu co przyszło do głowy, budził ich po nocach czasem, kazał pochodnie zapalać i po ogrodzie się naszać.

Człek był srogi, popędliwy, ale też sprawiedliwy. W życiu domowym, mówiono o nim cicho, że za dawnych czasów więcej sobie pozwalał, niż przystało – szalał okrutnie i żył obyczajem pogańskim. Gdy żonę stracił, która syna mu dawszy, zmarła, dwór był, jak u dzikich, niewiast różnych pełen, które kupowano dlań w dalekich stronach... Pijano też nad miarę i dokazywano okrutnie... Niejednego ubitego Jazdon miał na sumieniu, ale za krew płacił sowicie i kajał się, choć – byle go kto zadrasnął, nazajutrz znów łby gotów był ścinać.

Syna jedynego dał chować Wojuszowi, który mu był powinowatym jakimś. – Sowa ojcowiznę pozostawiał i posprzedawał, potem do Jazdona przyszedł raz odarty i u ognia mu siadł, mówiąc. – Już ztąd nie pójdę. Ostatni chłapeć ziemi dałem za dwa sokoły, dwa psy i opończę... Sokoły mi przepadły, psy się powściekały, opończa podarła... teraz wy mnie żywić musicie, bom swoja krew, zwałać się jej nie możecie dać. Półkozać jestem!

Na to mu Jazdon rzekł. – Siedźże, ale mi syna weź w ręce dobrze i trzymaj ostro, bo w nim tak, jak ongi we mnie, kipi krew szalona. Odslużysz za chleb, bo ci ta bestya oczy wydrze... Nie strzyma go nikt, chyba drugi Półkoza, jako my.

A był dzieciak Jazdonów istny borsuk młody, którego się nie tkniesz, żeby cię nie pokąsał. Miał z nim Wojusz nieustanną wojnę, czasem zmuszony i siec i karcic strasznie, chociaż to nie pomagało, bo chłopak zbity gorszym jeszcze się stawał. Dodali mu potem z Krakowa od św. Jędrzeja klechę, pół-księdza, co go miał w religii ćwiczyć i do nauki jakiej sposobić. Zwano go mistrzem Zulą, ten gorzkimi łzy opłakiwał swą dołę, tak ów Pawlik nieunoszony był.

Poskarżyli się czasem ojcu, kazał siec, więzić, głodzić. Pawlik dawał się chłostać, ściąwszy zęby, ani pisał, albo tych, co go trzymali, za ręce kąsał. Dawał się zamykać, jadł chleb, wodę pił, z jamy się nie wypraszał. Gdy go puszczone, wnet znów broił tak samo.

Było z nim trudu strasznego niemało.... do tych dziewiętnastu lat, których teraz doszedł. Stary Jazdon przecież, dziwna rzecz, choć go sam, bywało, zdrową ręką za włosy wytargał i obił, nie brał do serca tej krnąbrnej natury. Czasemby był przysięgł Wojusz, że się z chłopca śmiał i cieszył, tak mu wąsy i broda z jednej strony drgała. Niekiedy mruknął. – Będzie z niego człek, z gnoju nie ma nic!

Na to Wojusz głową trząśł – nie dowierając, choć i ten go kochał... Klecha zaś Zula, którego chłystek żywcem zamęczał, miał doń przywiązanie, jak do własnego dziecka.

Takie to było stworzenie dziwne, że ani go znienawidzić, ani z nim w zgodzie pół dnia przeżyć nie było podobna.

II

Gdy się ku gródkowi zbliżać zaczęli – a jechali teraz wolno, Wojusz pierwszy poznał, iż owemi gromadami zbrojnemi na Podzamczu kto inny nie mógł być, tylko wojskowe dwory rycerstwa krakowskiej ziemi i okolic ode Ślązka. Ale poco się one tu ściągaly i co robiły, nie pojmował, ni się domyślał...

Do Jazdona na radę nie jeździł teraz nikt, bo stary się już tu tak zamknął, że o Bożym świecie nie wiedział nic.

Więc jakaś bieda, czy potrzeba, tych ludzi zapędzić musiała w lasy. Albo od nieprzyjaciela uchodzili, lub tu czyhać nań chcieli, w puszczy się gromadząc.

Wojna tych lat nie była rzeczą osobliwą, ale powszednią. Od Wisły i Wieprza począwszy, po Wartę i Łabę niemal, książątek siedziało Piastowiczów różnych, poniemczających, podczizających, kłótliwych tyle, że ich i policzyć było trudno...

Jeden drugiemu ziemi zazdrościł, grody najeżdżał, powiaty obrywał... Chwyтали się po kościołach na modlitwie, jeden drugiego – sadzali do więzień, nietylko sami, ale żony i dzieci, zabijali się i mordowali o dziedzictwa, do których prawa rościli. Nie ten, to ów wojował i wicherzył.

Nie stało tych waśni domowych, najeżdżała Ruś, napadali Prusacy, Jaćwieże, Litwa, Połowcy. – Nie było ani dnia spokoju, chyba w takich kątach, do których przez błota, moczary i puszcze dostać się nie było podobna. A Przemanków taki był, mówili ludzie, że siedział, jak u Boga za pazuchą.

Podjechawszy pod gród, gdy Wojusz się począł rozpatrywać w tych kupach, pozdrawiali go przybylcy, – widząc, iż domowym być tu musiał...

Ludzie stali wszystko zbrojni mocno, jak na wyprawę gotowi, ale strwożeni jacy i niebutni.

Kładli się opieszale, niby obozem, jakby nie wierzyli, że tu długo potrważą.

Już do wrót otwartych podjeżdżając, stary Wojusz, oczyma rzuciwszy po tych, co go, Boga chwalać, witali, poznał podeszłego, jak on, rycerskiego człeka, z którym niegdy razem w polu bywał – Rokitę.

Huknęli do siebie zdala. Sowa stanął.

– A was co tu przyniosło? – zapytał.

– Nie pytaj! Cóżby mogło, jeśli nie bieda – począł podchodząc ku niemu Rokita, który, że jeszcze czasu nie miał nic zdjąć z siebie, jak jeź, był cały nasrożony łukami, kołczany, oszczepami i nożami. – Zdało się, że co miał doma żelaza i broni, wszystko na się wziął.

– Co za bieda? – pytał Wojusz.

– Jakbyście to nie wiedzieli? – mówił Rokita. – Choć wy w lesie siedzicie, ale już kąta nie ma na tej ziemi, gdzieby nie jęknęło i nie zadrgało trwogą. Alboście to nie słyszeli o tej tłuszczu, o tej szarańczy, o tej chmurze, co na nas, jak potop, się leje, Ruś już zawojowawszy całą?

Wojusz zżymnął ramiony.

– Juścim o tych słyszał, co ich nasz klecha zowie Gogami i Magogami – rzekł powoli – jakoby się oni odgrażali całą ziemię podbić sobie, jak o nich w piśmie ma stać, i że chcą całe chrześcijaństwo wygubić. – Hę! – ale Pan Bóg nie dopuści!

– Dopuścił! – wtrącił Rokita gorąco. – Wyście tu, widzę, pogłuchli i poślepli, a tam już ziemia się trzęsie i krew rzekami płynie. Oniż już u nas, na karkach – już w popiołach całe powiaty.... bo ta dzicz nie żywi nikogo!

– Drugie Połowcy! odparł spokojnie Wojusz... ja ich znam!

– Co? Połowcy? To byli ludzie jeszcze, choć ludzi zabijali, a to dziki zwierz co trupami żyje! A idzie tego taka moc straszna, z wozami, z końmi, z babami, że na piętnaście mil szlaki zalegają ławą.

Westchnął mówiący i pot otarł.

– Więc cóż? – spytał Wojusz dosyć obojętnie.

– Mamy ginąć, – dodał Rokita – pan wojewoda krakowski powiada, ginimy po rycersku: po chrześcijańsku. Uciekać już i nie ma dokąd, plądrują oni wszędzie a płyną falą ogromną jak woda. Trzeba stanąć i dać życie z cześcią, nie w jamie się dać brać – nie bezbronnym.

Westchnęli oba spoglądając ku sobie; w tem słuchający dotąd Pawlik, któremu twarz znowu gorzeć zaczęła, wyrwał się:

– Pójdę i ja z Wojewodą!

Wojusz nań spojrział, ramionami ruszając.

– A co po takim chrząszczu! – odezwał się pogardliwie.

Pawlik aż za nóż się pochwycił, bo mu obcego wstyd było.

– Pójdę! – powtórzył – pójdę!

Rzekłszy to, nagle zęby zciał i zamilkł.

Wojusz z Rokitą, poszeptali coś jeszcze i stary z chłopcem, który mu się już naprzód wyrwał, jechał na zamek. O owem szaleństwie, za które go karcic miano, mowy już nie było.

W podwórza bardzo przestronne za wałami, ledwie się mogli wcisnąć i to wołając ciągle aby ich przepuszczono, bo domowi są i to się im należy.

Ludu wszędzie było pełnusięńko, a przed dworcem pańskim, starszyzna co się już w izbie pomieścić nie mogła, kołem stała we zbrojach niemieckich, w hełmach, w szatach jasnych i pstrych, otaczając starego Jazdona, który się swoim niewolnym, Niusie i Musie na dwór do panów braci wynieść kazał.

Widok był osobliwy, bo stary pan, którego słudzy na barkach trzymali, górował nad tłumem, jakby podniesiona chorągiew. Ogromny tułów jego wisiał na pół bezwładny na ramionach tych obrów silnych, z bladą twarzą długą o jednym zamkniętym oku, z brodą siwą co mu, nie kręcąc się, rosła gdyby trawa prostymi grubymi włosy, z usty krzywymi, zapadłymi, z tą jedną ręką białą jakby trupią, chustą przywiązaną do szyi Musze, z drugą w pięść gulowatą zbitą, kościstą, żyłami grubymi oplecioną...

Suknia na nim prosta, wełniana, na piersiach była rozwarta i z pod brody przeglądało wyschłe ciało, ze sterczącymi zębry, z pofałdowaną skórą żółtą.

Słuchał opowiadania Jazdon, to usta bezzębne otwierając na pół, to je zaciskając. Oko zamknięte drgało mu, a z otwartego, zakrwawionego płynęła łza długa, po bladym zmarszczonym policzku.

Obok tej twarzy pół umarłej a jeszcze życiem jakimś tętniącej, dwa łby ostrzyżone krótko z obliczami śniademi, bezwłosemi, krągłymi, ze łśniącemi bydlęcą tłustością policzki, obumarłe, zmęczone – stały jak dwa kamienne posągi.

W koło rozprawiali przybyli gwarno, przerywając sobie, wtrącając słowa z bólem wielkim, z ogniem rozpaczliwym. Wśród rycerstwa zbrojnego widać było i kilku duchownych. Stał tu wcisnąwszy się i Mistrz Zula domownik Jazdona, nauczyciel Pawlika i kilku księży przyjezdnych z posepnymi twarzami, jak gdyby po nich śmierć przeszła.

Gdy Wojusz i chłopak z koni pozsiadali a poczęli się zbliżać ku dworowi, co z niemałą przychodziło trudnością, bo i koni i ludzi było jak nabito – urywana tylko, kawałkami dochodziła ich rozmowa. Chwilami przerywało ją milczenie, to znów głosy się podnosiły razem gwarne i jedne drugie głużyły.

Ludzie się wynosili z tego koła i cisnęli doń. Zamęt wielki widać było między niemi, jakby głowy potracili i nie wiedzieli co czynili.

Wojusz przybliżając się postrzegł, tuż obok Jazdona, którego niewolni dźwigali, poprawiając mu to rękę, to nogę bezwładną, znanego dawniej Sulisława, brata krakowskiego Wojewody.

Ten jeden miał oblicze wygładzone i spokojne choć posepne, jako ten, co z Bogiem się pojednałszy wie iż na śmierć idzie, i nie dba o to. Odbijał on sam od wszystkich tych rozplamionych, po których rysach biegało i męztwo i trwoga, i ból, i co tylko ze zburzonego serca ludzkiego na wierzch krew wynieść może. Jedni rękami chwyтали się za włosy i po czołach uznojonych tarli, drudzy podnosili je ku niebu drżące, inni załamywali bezsilnie. U wielu słowo się kłóciło z dłońmi a mowa z postawą.

Stary Jazdon słuchał, a już Wojusz i Pawlik, docisnąwszy się tu, mogli lepiej chwytać te rozbujane słowa, latające jak wicher czasu burzy.

– Koniec nam! w więzy wszyscy pójdziemy, lub pod rzezak ich! Koniec nam! – mówił ogromny mąż z wasy szpakowatemi, które zagryzał. – Nie oparło się nic tej dziczy, zaleje ona i nas.... a po trupach naszych powali się dalej, het, póki świata stanie, póki ziemi, póki pastwy.

– Nie zjedliż nas połowcy, ani drugich prusacy, a i Jaćwa, choć nieraz tysiącami u nas bywali! – przerwał drugi. – Wszystkich nie pożrą i ci.

– Ale bo ich takiej mnogości plugawej niebyło jak świat światem – wtrącił inny. – Posłuchajcie no tych co od Lublina, od Zawichostu, od Sandomierza zbiegli... Wojsko to nic, tłum nic, ćma nic, aleć ich tyle, że ode Dniepru het zawalili ziemię jako mrówię, jako gad. Sta stu tysięcy wylało się tego ze stepów – kto to zmoże??

Wśród milczenia, począł jeden z duchownych.

– Na zgubę poszło imieniowi chrześciańskiemu, jako stoi w piśmie! A co wolą Bożą i dopustem jest, przeciw temu człowiek mizerny nie może nic! Ruś w rękę ich cała; kneziowie służyć im muszą, a który głowy nie dał, w łykach strzemiona im podają. Mało kto z nich ocalał.. nie dają życia nikomu, prócz młodzieży, którą w niewolę na pastwę chuci bydlęcych pędzą.. Starych rzeżą wszystkich, niewiasty, mężów, dzieci.. a krew ich piją... trupy jedzą...

Sulisław słuchał milczący, i trochę oczów spuszczał rzeź z wolna.

– Toć nie mając już przed sobą nic tylko śmierć – trzeba ważyć resztę życia, aby poczciwości nie postradać. Co nas rycerstwa jest, musimy się zebrać do kupy i czoło stawić.. a ginąć to ginąć!

– Będzie nas może jeden na ich stu! – zamruczał ktoś z boku.

– Choćby jeden na tysiąc – odparł chłodno Sulisław – śmierć zawsze równa.. Albo musimy sami przeciwko nim iść, lub się z księciem Henrykiem łączyć, który pod Lignicą zbiera siły.. Oni tam pono Wrocławskiego grodu nie dostawszy, ciągną.

– A któż z księciem Henrykiem? Juści nie sam? – zamruczał siwy wąsaty.

– Garną się ku niemu wszyscy, – mówił Sulisław. – I nam iść tam potrzeba, a ginąć po rycersku. Niemieckiego żołnierza będzie tam dosyć, bo i na Niemce i na cesarza strach padł. Przez nasze ziemie

oni na nich idą. Trwoga u nas, ale ogarnęła też świat cały, bo ich nie strzyma nic. Pójdą, wywrócą Cesarstwo i Rzym zawojują, przepowiedziane im panowanie nad światem.!

– Tak mówią! tak oni głoszą – z westchnieniem rzekł duchowny – ale w mocy Bożej wszystko. Kto może wiedzieć ażali się nie nawrócą, bo do nich Ojciec Święty posłał kapłanów i apostołują u nich bracia nasi, a powiadają inni, że są między nimi, co w Chrystusa uwierzyli i chrztu pragną.

– Wiatry niosą baśnie i kłamliwe języki – odezwał się jeden z koła. – Tyle teraz fałszu, iż w nim odrobiny prawdy nie rozeznac.

– Tylko to prawda, że za nimi pustynia i trupy, że się im nie oparł nikt – zamruczał inny, ruch czyniąc rozpaczliwy.

Zaczęto się sprzeczać. Jedni drugim zadawali strach i trwogę, aż wyrwał się Wierzbięta i począł na głos wołać.

– Żeleziec, chodź ino tu! Żeleziec! Ten ci był w Lubelskiem, gdy przyszli i wie najlepiej, co są.. Patrzył się na nich, niech opowie.

Zaczęli się oglądać i rozstępować wszyscy, owego Żelezca szukając pilno między sobą. Ten się podczas w drugiej kupie znajdował, już pono po raz setny prawiając, jak się z pod miecza i łyk tatarskich wyzwolił cudem łaski pańskiej. Ledwie Żelezca z pośrodku ciekawych wydobyto i ściągnięto.

Wojak to był niegdyś, stary już człek, chudy strasznie, wysoki, łysy, skóra a kości, bład, kaszlący tak, że mu co chwila tchu nie dostawało, a piersiami robił jak miechy i ręką się za nie ustawicznie chwycił.

Odzież miał na sobie poszarpaną i oplamioną, na którą mu ktoś opończę dał z miłosierdzia, a ta mu ledwie do kolan sięgała. Szedł kasząc i spluwając, choć tak mizernie wyglądał, przecie jako tu jedyny świadek czując się drugim równy na teraz i od wielu lepszy. Dawał się prowadzić starszyźnie jakby na stolicę, a gdy wszyscy zamilkli, głowy ku niemu pozawracawszy, chrząknął, pogładził się po czole i rozpoczął.

– Już myśmy o nich, tych bestjach krwiożerczych, słuch mieli wprzód nim nadciągnęli. Co nocy niebo gorzało. Nie chciało się temu wierzyć, co ludzie przynosili... W powietrzu smród był zgorzelizny i trupów na trzy dni przed nimi. Krucy niebo zasłaniali; nocą gdy cicho było, coś czasem przeleciało z poświstem, jakby tysiąc płaczów i jęczenie konających...

Żegnali my i księża krzyżem świętym tamtą stronę – nic nie pomogło. Z lasów popłoszony zwierz zaczął stadami biedz jak oszalały, bo puszcze gorzały... Pomyśleliśmy – przyszła ostatnia godzina. Trzeba było z chaty precz. Wzięliśmy się ładować na wozy... do lasów... na błota... Było rano. Smród i dym coraz straszniejszy, wiatr przynosił. Tętniała ziemia, ręce się nam już trzęsły...

Jedno zbawienie w las – jeżeli go nie zapalą, w głąb, za moczary.. My ładujemy tu jeszcze, kiedy za nami trzęsie się, huczy, świszczę, wyją głosy dzikie, niby wilcy głodni.. Pochwyciliśmy na ręce dzieci.. wozy rzucając, aby prędzej do lasu z życiem.

Spojrzałem ja na lewo, gdzie dolina była jak okiem zajrzeć. Ruszało się coś jakby jedno wielkie ciało szare a plugawe.. zmij.. Po nad niem opary i dym jakiś, a głos, jakiegom ja w życiu nie słyszał. Gdyby dzikich bestyj tysiąc wyło – nic! włosy wstawały na głowie. Jakby chmura padła na dolinę – nic na niej rozeznac nie było można, tylko niby ścierw ogromny, co się sunął naprzód. Przed nim, jakby nogi powyciągał z pod siebie, sznurkami wysuwały się stworzenia jakieś i ruszały szybko naprzód.

Wybiegliśmy szybko do lasu, bo się i to bestyjstwo chyżo dźwigało i peźło jako gad coraz bliżej. Co żyło z nas pędziło, drudzy padali na drodze, z sąsiedniego przysiółka ludzie tylko co się dobywać zaczęli – po niewczasie! My z żoną i dziećmi zapomniawszy o wszystkim, jakieśmy stali, w koszulach jednych.. puściliśmy się do lasu, aż na drodze z tego popłochu białogłowie tchu i sił zabrakło, z dzieckiem na rękę obaliła się na ziemię krzycząc. Obejrzałem się ku niej, bo już była o staję za mną, chcąc biedz na ratunek – o! Boże miłosierny! już było zapóźno!

Dzicz ta, co przodem przed zgrają gnała, przypadła, jeden strzałą w pierś jój ugodził, drugi dziecko moje schwyciwszy za nogi, rozdarł je w sztuki... Inni na czeladź wpadli rzeząc i nikomu nie przepuszczając.

Stałem skamieniały – bom ruszyć się nie miał siły i nie wiem, jakim cudem łaski Bożej niepostrzegli mnie.. Ocalały.. dobiłem się do lasu sam o sobie nie wiedząc, tylko krew moją niewinną, przelaną mając przed oczyma...

Jakem się ratowałem – Bóg świadek, nie wiem, nierychło oprzytomniałem.. Tak jak zwierz jaki bez myśli zbawienia życia szukałem, choć śmierć by mi miłą była! Co mnie do lasu poniosło? jaka siła? Bogu tylko wszechmogącemu wiadomo. Za sobą słyszałem wycie i ziemi trzęsienie, świst i turkot, jakby sądny dzień nadszedł, jęki i płacz, bo tam całą wieś rzezali już i palili. Gdym za siebie spojrział, już to czarne mrówie, wszystko na małych włochatych koniach, osmolone, z psiami pyski szerokiemi zataczało tuż pod skraj lasu. Ledwie miał czas – nie pomnąc co czynię – zwierzem się prawie stawszy – kroków kilkanaście uskokczyłem w głąb. Jakem się na gęstą choinę dostał po gładkim pnieniu, prawie do wierzchołka – Boże mnie skarż, jeżeli dziś przypomnieć mogę. – Od młodości nigdy na drzewa nie łąziłem, nawet dla własnych barci, a ze strachu i bólu, nogi i całe ciało drżały i dygotały... opatrzyłem się zaś dopiero, gdym na rosochatych dwu gałęziach się oparł. Już dalej leżeć nie było gdzie.

Tum dopiero mój popłoch i głupotę kłąć zaczął, bom się wrzekomo zgubił tem drzewem... Lepiej było dalej biedz w puszcze... a tu już dobijała się ta dzicz, zajeżdżała pode drzewa, zaczęła stawać i mościć się.

Złazić nie było już czasu, bo by mnie łącno postrzegli. Poleciwszy więc duszę Bogu, gdym u pasa wiszący nóż zobaczył – rzekłem sobie, że gdyby mnie go brać chcieli, to go sobie w pierś wraże, abym męczeństwa uniknął...

Psiarstwo to jednak zwijało się na skraj, mnie dotychczas nie widząc, tylko psy duże kosmate, na nogach wysokich, które zaraz za mną nadbiegły, zaczęły tropem gonić aż pod sosnę. Tu łby popodnosiły, pociągnęły nosami, łapami się pospinały i nuż ujadać.. Bóg łaskaw, że nikt na to nie zważał. One też trochę tak naujadawszy za mną, nazad pędem zawróciły, żer gdzieś czując.

Jakom tu dzień cały przetrwał, żem patrzył i serce mi nie pękło, żem nie krzyknął, a nie padł z bólu, cud jest, jak to wszystko, co się ze mną stało, jednym cudem było. Poczęli się u lasu z wozami ustawiać, a były one, jakichem w życiu nie widział, na dwu kołach ogromnych, wysokich, ponakrywane wojłokami, jakby namioty, ciągnione bawoły i końmi... W tych pół nagie baby gospodarzyły, wyglądały z nich śmiejąc się, wywijając rękami gdy rzeź zobaczyły...

A tu zaczęli gnać a napędzać naszych. O! Jezu miłosierny! arkanami za szyję połapanych, niewiasty i dziewczęta ciągnąc, bijąc pletniami. Niektórzy żywym uszy i nosy nożami rzezali, drudzy głowy ucięte i krwawiące jeszcze na dzidy zatykali.

Tak mi Boże dopomóż, jakom widział, gdy Salmonowej dziewce piersi poobrznali i jedli je, a drugi do krwi płynącej przycisnąwszy usta, ssał, póki nieszczęśliwa żywą była. Spędzili z Dubinek naszych całe stado pod las, na koniach za niemi gnając. Dopieroż za włosy co młodszych wyrwać poczęli na stronę i pędzić, a który się opierał, bić i kaleczyć, potem, który kaleką był, dorzynać.. W ostatku, gdy jeno starzy zostali, niewiasty i mężowie, padli na nich mieczami łby ścinając ze śmiechem na wypródkę. Uszy zasię wprzódy im poobrznawszy, które jeden jadący w koło do wielkiego wora skórzanego zbierał.

Com cierpiał – Boże jedyny! naprzemiany płacz mi się rwał z wnętrzości, jakbym krwią płakać miał, to szaleństwo napadało, że się chciało rzucić i mścić, jednemu przeciw tysiącom – bodaj paść! Oczy mi chwilami ślepy. Słochałem głośno, a że mnie nie posłyszeli, nie wiem jak się stało.

Prawda, że w owym tłumie gwar był okrutny i z doliny, hen – huczało, jakby ciągłym, głuchym grzmotem. Czego się moje oczy napatrzyły tego dnia.. żem nie oszalał!!

Żeleziec umilkł trochę, łzy zaczął ocierać, drudzy stali posepni wstrzymując łkanie. Księża płakali wszyscy. Jazdon pięść zdrową ścisnął, tak, że mu długie paznogie w mięso się wpiły i krew kapała na ramię Niusie – Pawlik zęby ściał, oczy mu się paliły jako dwa węgle żarzyste.

– Com z sobą począć miał? – ciągnął dalej Żeleziec. – Powaliłem się między gałęzmi oczy zasłoniwszy, ale co wrzask się dał słyszeć, tom musiał jakby gwałtem powieki otwierać i patrzeć. Rozwierzały mi się same. W końcu i one jakby skostniały, patrzałem jak trup – niewidząc.

Zdawało mi się, nie mierząc, jakbym już nie był żyw, tylko śnił krwawo – i nie na świecie był, ale kędyś w otchłani za grzechy rzucony, szatanów mając przed sobą.

Ani bym przysiągł czy to ludzie byli, czy tylko podobne do ludzkiego lice pobrali – zwierzęty będąc, bo tam żadnej ludzkiej litości nie pokazał ni jeden... Na trupach się wylegali śmiejąc, a który nie dobity drgnął, biegli go chichocząc dorzynać i znęcać się nad konającym.

Na tem miejscu pod lasem, gdzie wszystek lud spędzili z wiosek okolicznych, aby z niego przebrać wyrostki, gdy poczęli starszych zabijać krew popłynęła strumieniami.

Jakbym widział ją jeszcze.. krew tę naszą, gdy pieniać się biegła i bąblami a szumowinami się okrywała, do której psi się zbiegali i chleptali ją chciwie. Leżały do koła poobcinane ręce i nogi. Poznawałem ludzi, com ich wczoraj żywych widział, dziś poćwiertowanych. – Siadło potem to bestyjstwo jeść i pić, jakieś mięsa surowego sztuki dobywające z pod wołoków, na których na koniach siedzieli, i jakiś napój ze skórzanych worów nalewali sobie. Baby im podawały drewniane miski z tych wozów, na których jechały, a drugie stare, na pół nagie widziałem między niemi na koniach się upędzające zarówno z mężczyzn, strzelające jak oni, tak rzeżące jak tamci... Te uszy też obcinały trupom i żywym, innym głowy, a cieszyły się niemi nosząc i podrzucając jak zabawką.

Spędzili pod las do kupy co pobrali ludu z okolicy, rycerstwo, duchownych i chłopów, poodzieranych na pół, pokrwawionych i powiązanych, wszystką młodzież krzepką, bo innym żyć nie dawali. Ci posinieli z zimna, strachu i głodu, tylko, że się obracać mogli. Niektórzy padali i już się nie podnosili.

Najbliżej mnie wozy te ich stanęły, za którymi bym nic nie widział, gdyby nie owa sosna wysoka, na której wierzchołek się wdrapałem. Po owej rzezi i pędzaniu poczęli się na ziemi kłaść, ognie palili gdzieniegdzie, kotły stawiali i zbierali się kupkami, każdy pod dozorcą czy sotnikiem, który pletnię mając w ręku rozkazywał i ćwiczył. Zaraz za wozy temi, co jak chaty okrągłe i namioty wyglądały, leżeli jeńce obok trupów i na nich... Dalej nieco zatoczył się ogromny wóz, o którym domyślałem się, że wodza ich musiał być, bo poobszywany był świecidełkami różnemi i chwosty... Ale same w nim baby jechały, bo wodza onego zobaczyłem zaraz na koniu, jak drudzy przed nim padali na kolana i na twarz, a on ich siec kazał i dwu łby ściąć, na com patrzył. Sami szyje nastawili przyszedł kat i zamachem jednym postrzącał im z kadłubów głowy, a ścierwa wnet sprzątnięto.

Tchnął znowu Żeleziec, a jeden z duchownych wtrącił pytanie:

– Cóżście mówili, iż do ludzi mało podobni są?

– Bom takich mord jakom żyw nie widział – rzekł Żeleziec. – Wszyscy do siebie podobni jako rodzeni, śniade, blade, na twarzy włosy mało albo i nic, policzki szerokie i wypukłe, oczy małe głęboko wciśnięte, nosy płaskie a szerokie, twarze bydłce i straszne, zęby gdyby u zwierza kły, ostre i białe... Nie olbrzymy to, choć na koniach się zdadzą duzi, bo nogi krótkie mają, przecie siła ich straszna. Widziałem jako naszemi ciskali tak, że się o ziemię rozbijali.

W głębokiem milczeniu słuchali wszyscy – szmer ustał. Żeleziec zakaszlawszy się już mówić nie mógł, gdy jeszcze go słuchano.

– A jakżeż się z tamtąd ocalił? – zapytał zwracając się ku niemu Sulisław.

– Jak, i po co? albo ja wiem? – jęknął Żeleziec. – Wszystko, co się ze mną tego dnia i nocy działo, stało się nieświadomo. Ani wiem czym sobą władał, czy siła jaka obca. Oschły mi oczy patrząc, w gębie i w gardle ogniem piekło, głowa pękała. Tylem przytomny był, zem pacierz jeden zaczął ciągle, dokończyć go niemogąc.

Gdy mrok nadchodzić począł, nie wiedziałem czy się noc we mnie poczyna czy na świecie, czy rok siedziałem czy dzień jeden, czym żywy czy umarły. Wiatr jeszcze od ogniów ich dym precz mi pędził na las i oczy wygryzał. A kurzyło i od kotłów ich i z tych wozów, które u góry miały dymniki, przewijało się przedemną różnych, do siebie podobnych starszyzny i szui mnóstwo... Niektóre ich

wyrostki, okrutniejsze jeszcze od starych, pod wieczór szli jak na igraszkę do jeńców, aby ich kłuć, strzelać, dziewczęta za włosy wywlekać i pastwić się nad niemi.

Otroki te dusiły dla igraszki za szyję ująwszy młodszych... na com wszystko patrzeć musiał, aż póki ciemności nie padły. Postawili niby strażę jakieś, uczynili porządek i tuż kładli się na spoczynek... A jak surowe mięso gdyby wilcy żarli, tak i posłania im nie było trzeba. Mało który woźłok wziął pod się. Baby też ledwie płachtami pookrywane chodziły i jeździły.

Konia który za grzywę lub łeb ułapił, to już na nim siedział. Widziałem też, gdy do kruków strzelali pod wieczór co na trupy naciągnęły ze psy razem, że ich strzałami w powietrzu ubijali, nie chybając nigdy... a potem mięso ich jedli.

Żadnej tam modlitwy ani Bożego nic nie było, tylko u wozów, gdzie woźłoki wisiły u wnijścia, poczepiane były bałwanki jakieś, którym się baby kłaniały i palce do nich przykładały.

Jednego, co krztę napoju jakiegoś na ziemię wylał, z wielkim krzykiem zaraz za to ścięto... Drugiego wrzeszcząc baby wyгнаły z namiotu, który się napitym zdał, a znać czemś splugawił swą chatę, bo go też zaraz za karę uśmiercili.

Gdy noc padła a zimno się stało większe jeszcze, jużem czuł, że na drzewie nie wytrzymam dłużej, chyba padnę. Bestjalstwo to poczęło spać, opodał tylko niektórzy stróżowali. Wziąłem się spuszczać na dół po drzewie – więc o sęki i wystające suche gałęzie poraniwszy się i ciało do krwi podarłszy, więcej spadł niż zsunął się na ziemię lecąc. Myślałem, że od szelestu tego pobudzą się i wezmą mnie. Psy tylko zdala zaszczekały, a niektórzy śpiący głowy popodnosili, z wozu jednego baba też się wytknęła, a jam leżał rozbity, ruszyć się nie mając siły.

Ucichło. Las przedemną był gęsty, noc ciemna, począłem się nierychło na nogi zbierać i na czworaku pełznąć, nim się zdołałem rozkurczyć, podnieść, a na ostatek, iść – albo wlec się. A że ciemności były wielkie, o drzewam się tłuł, na korzeniach padał. Nic mnie nie bolało, ani rany com je sobie poczynił z drzewa upadając, ani guzy od stłuczenia. Szedłem, pełzałem, wlokłem się niewiedząc dokąd, pókim tylko słyszał za sobą gwar ich obozowiska. Wreście niewiem kiedy i jak padłem pod kłodą pół martwy – i co się już ze mną działo, – nie pamiętam.

Gdym do przytomności przyszedł, poczułem boleści wielkie i kłócia.. Całego mnie już mrówki czarne obsiadły. Chciałem wstać, alem siły nie miał, dopiero nierychło ostatek jej dobywszy ruszyłem się zgartując z siebie to plugastwo całemi dłońmi, z twarzy, z szyi, z rąk, z ciała, bo wszędzie się już rozlazły. Nimem się otarł i wyrwał, namęczyłem się nie mało.

Szczeńciem że obok woda była, choć jak lód zimna, w której obmywszy się, odzienie zrzuciwszy, potem wdziawszy je znowu, orzeźwiałem jakoś. Począłem się rozpatrywać po lesie i nierychłom poznał gdzieem był... Na uroczysku Wąsoczem, z którego już drogę wiedział.

A no – gdzie iść? kędy była ta szarańcza? gdzie jej nie było? kędy uciekać??

Głód począł mnie trapić straszny, którego nie było czem ukoić. Bóg łaskaw, żem na grzyby jakieś natrafił, którym życie podtrzymał, potem pączki młode gryząc. Same mnie nogi niosły ku Rządzinom.

Gdym z lasu wyszedłszy spojrział na znaną okolicę, ręcem załamał.

Wsi, gdzie stała, nie było śladu, kościoła jedna ściana okopcona sterczała, na polach wkoło żywego ducha. Nie zostawili po sobie nic, ino zgłiszczą. Stado krucze pokazywało kędy trupy leżały.

Dopierom nad wieczór w lesie innych zbiegów natrafił, co się nademną ulitowali. Z niemim w puszczy siedział, ażem od jednych do drugich w borach obozów wlokąc się, tu dostał...

Gdy Żeleziec mówić przestał, na twarzach słuchających widać było politowanie – ale i niewiary trochę. Patrzali nań niektórzy koso, chrząkali i milczeli, drudzy po sobie spoglądali. W tem Sulisław, brat wojewody, odezwał się do bliższych.

– To co ja o nich wiem, godzi się z tem, co powiada. Co się z nim działo, Bogu jednemu wiadomo, bo mu się i w głowie pomięszać mogło.

Ruszyli ramionami starsi. Żeleziec domyślał się może niewiary, bo się tłuc w piersi począł mocno i przysięgać, że nie inaczej mówił, tylko tak, jak się rzecz działa, z dopustu Bożego, a że mu

ludzie z pełną wiary dawać nie chcieli, nie dziwował się, gdy on sam nie pewien był tego, co oczy widziały...

Ścisnęło się koło starszyny, obradować ciszej zaczęto. Rady innej nie było nad tą jedną, aby do księcia Henryka Śląskiego kupić się, bo przy nim większa siła się zbierała. Po chrześcijańsku na śmierć iść, po rycersku ginąć.

Jazdon, który słuchał narady, głowę na piersi zwiesił, pięść, którą trzymał zawartą, otwarła się. Noga, którą władał, kopnął Muchę i skinął aby go niesiono do izby, bo Pawlika zobaczywszy i Wojusza, brew mu się namarszczyła i usta skrzywiły groźnie.

III

Razem z Jazdonem, którego niewolni wnieśli do izby, we drzwiach niskich opuściwszy starca na rękach – wszedł też powołany Pawlik, a w ślad za nim Wojusz.

Stary mruknął coś niewyraźnie, lecz ludzie do tej mowy nawykli, wiedzieli, że drzwi kazał za sobą zamykać. Pawlik pozostał trochę u proga.

Wojusz śmiało, chociaż posepny szedł za Jazdonem, groźnie się oglądając ku chłopcowi.

Gdy stary leżał na posłaniu, a Niucha i Mucha, ocierając pot z czoła, pod próg wrócili wodę pić, odezwał się głos dziwaczny, a raczej bełkotanie, które z ust na pół bezwładnych starca wychodziło.

Ci tylko, co przyzwyczajeni byli go słuchać, mogli tę mowę niewyraźną, jakby z grobu wychodzącą, ponurą, niby łkaniem poprzecinaną zrozumieć. Przypominała ona wycie jakiegoś zwierzęcia, gdy dogorywa, choć ludzką była. Połowa słów połknięta nie mogła się dobyć z tej piersi zeschniętej i skostniałej. – Gdy starzec mówić chciał, a niemoc go ta okowywała, wpadał zwykle w złość wielką, rzucał połową ciała, okiem jedynym miotał groźnie.

Wojusz stał przed nim.

– Gdzie ten niecnota był? gdzie? Jakes śmiał na jedną chwilę z oczów go spuścić? ty! ty!

– Winienem – rzekł krótko Wojusz, – ale słuchaj, stary, – nie złość się. Ja tego twego żróbaka dłużej ujeżdżać nie myślę i chleba twego nie chcę, łaski nie żądam, pójdę ztąd precz! Dosyć!

– O! o! – zagrzmiało z piersi Jazdona – o! ty!!

Mów, gdzie był?

I pięść podniósł ku synowi. – Ten stał ledwie nie wyzywająco patrząc ojcu w oczy. – Milczał.

– Pytasz gdzie? – przerwał gniewem starego podrażniony Wojusz – a gdzie ta twoja krew szaleć miała, jeżeli nie tam, gdzie mogła ludzi i bydło dusić a znęcać się albo dziewczki dostać! Bo i to mu już pachnie! Spytaj go się, spytaj gdzie był, jak konia porwał, dwóch pachółków zmusił z sobą, psy wykradł i pojechał zagrodnikowi barany mordować, trzodę rozpędzać, a w końcu sobie na koń dziewczynę wyrostka wsadził, z którą już w las chciał biedz, gdym ja naskoczył...

Jazdon drgnął, ale złość, która miała zeń wybuchnąć, gdzieś w piersi w kłęb się zwiłała i tylko chrapanie głuche a straszne słyszeć się dało.

– Do jamy z nim, na chleb i wodę, trzymać dopóki nie powiem! do jamy. A żeby mi nad suchy chleb nie miał nic! Wiur niech stanie na straży. – Jak stoi rzucić go do jamy! wnet! – wyjąkał stary.

Pawlik żywo podbiegł do ojca.

– Nie pójdę do jamy! – krzyknął – nie! tego dość! nie pójdę!

Milczenie nastąpiło straszne jakieś, a obry dwa stojące u progu, dech w piersi wstrzymały ze trwogi.

– Nie pójdę! – powtórzył Pawlik, nabierając coraz śmiałości. Jam już nie chłystek! wąż mi się sypie! W niewoli się trzymać nie dam, na Tatarów pójdę z innymi.

Jazdon ze spuszczoną głową słuchając, nie rzekł nic, Niusie tylko i Musie znak dał jakiś, wskazując syna. Zrozumieli, iż go wziąć mieli i wlec, ale ich trwoga ogarnęła, gdy Pawlik na nich rzucił młodemi, pańskimi swemi oczyma, parząc wejrzeniem jak ukropem.

Zawahali się. Stary powtórzył rozkaz nie słowem już żadnym, ale rykiem. Zadrżeli Niucha i Mucha, postąpili krok, w tem drzwi nie zaparte otworzyły się i w progu ukazał się Sulisław Jaksza, brat Wojewody.

Ujrzawszy go Jazdon namarszczył brew, czoło mu się ściągnęło, nie chciał mieć świadka sprawy domowej.

Za późno się opatrzył wszakże, bo Sulisław nim drzwi otworzył, rozmowę całą podsłuchał i zrozumiał. Pawlik ku niemu się zwrócił oczyma błagającymi, jakby go sobie chciał pozyskać.

– Ojczy miły – odezwał się podchodząc Sulisław, którego rycerska, szlachetna postać mimowolnie wrażała uszanowanie – nie czas teraz krnąbrnie karcić dzieci, gdy Bóg nas tak wszystkich smaga...

Nim Jazdon miał czas wyjąknąć odpowiedź, Pawlik go uprzedził.

– Chcę z wami iść! chcę iść! Dość mi doma gnić było! Weźmijcie mnie z sobą – na miłość Bożą! weźmijcie mnie z sobą.

I ten dziki przed chwilą chłopak do ręki Sulisława przyskoczywszy, – stał się niemal pokornym.

– Dajcie mu iść ze mną, kiedy serce ma! – zawołał Sulisław.

Wojusz na bok ustąpił, nie mięszał się – czekał. Co się w starcu działo, Bóg jeden mógł wiedzieć, nie poruszał się, nie mówił, nawet jedyne oko przywarła powieka. Długo zdawał się nie dychać nawet, jakaś walka wewnętrzna nim miotła, i pół ciała mimowolnymi ruchy drgało tylko.

Sulisław smutnie a poważnie na stojącego przy sobie, proszącego o opiekę Pawlika – spoglądał...

Nagle ręka spuszczonego Jazdona podniosła się gwałtownie i opadła, wybuchnął z gniewem.

– Bierz go! bierz...

Pawlik piorunem do nóg mu się rzucił, ale Jazdon jedyną nogą z łoża zwieszoną kopnął go tylko i nie patrząc nań, zwrócił się do Sulisława.

– Bierz go.. tego łotra.. ale na powrót!

Pawlik wstał z ziemi i cofnął się. Raz jeszcze spróbował się do ojca przybliżyć – odepchnął go Jazdon z jakąś rozpaczą.

– Ma być takim jakim był, niech lichy ginie poczestnie! – krzyknął.. – Precz mi z oczów ty gadzie! precz!

Pawlik ku' drzwiom się puścił i zniknął.

– E! e! – rzekł zwolna Sulisław – młode piwo! Kiedyż chcesz, aby w nas żywiej grała krew? Synowi przebacz... nie o tem myśleć teraz...

Wojusz ciągle czekał na uboczu. Jazdon spojrzał nań.

– Kiedy on idzie, toć i ja z nim! – zamruczał Półkoza. – Ja tobie tu na nic, dosyć masz bab i sług, a szalonego urwisza trzeba strzedz. Kto go za łeb weźmie tam, kiedy nie ja? Na mnie się on ręki podnieść nie waży.

Gdy to posłyszał starzec, twarz mu się dziwnie zmieniła, spadł z niej wyraz surowy, rękę wyciągnął drżącą ku Wojuszowi, który podszedłszy prędko, do piersi ją przycisnął.

Sulisław przysiadł na ławie.

– Jedź z nim! – odezwał się przerywanym, niewyraźnym głosem Jazdon, – jedź z nim. Konie najlepsze bierz, zbroje najlepsze... Co jest, bierzcie. Dziesięć, piętnaście ludzi z wami, dobrze zbrojnych.. ile znajdziesz!

Mówił coraz prędzej, Sulisław mu przerwał.

– A żwawo z wyborem się zawijajcie, my tu leżeć i czekać nie mamy czasu! Dziś jeszcze ztąd ciągnąć potrzeba. Pod Lignicą na nas czekać nie będą. Przyjdzie paść to przynajmniej w kupie, ze swemi, nie gdzieś w kącie, schwytanym. Ks. Henryk i inni z nim ludzie wojenni, jeżeli się nie oprą – to już chyba nikt! ani Cesarstwo nawet...

Wojusz do drzwi się zawróciwszy spieszył, lecz te się zaledwie otwarły, gdy inni ze starszyny w podwórzu stojący poczęli do izby się wdzierać z różnemi pytaniami i potrzeby. Od tatarskich zagonów, co chwila nowe przybywały wieści, od Wrocławia i Lignicy nadchodziły gońce.

Wszyscy oni o tej strasznej ćmie najezdzców, którą na sta tysięcy liczono, bo całemi powiatami zalewała ziemię – opowiadali toż samo, że się jej nic oprzeć nie mogło, że szła jak ogień, rwała jak wody wiosenne, jak chmura pędziła, jak burza, która wszystko niszczy co spotyka.

Ci co szli przeciwko niej, pewni śmierci kroczyli z zimną krwią rycerską, jaka przychodzi w ostatniej godzinie, gdy już żadnego nie ma ratunku, a mężowi okazać trzeba, iż go postrach śmierci nie złamie.

Czasem wspomniawszy na swą cichą zagrodę, westchnął który i stłumił wnet nie mężski żal, a przeżegnał się opędzając słabości pokusę.

– Dopust Boży! – powtarzali.

Pawlik z izby wybiegłszy z zaiskrzonymi oczyma, wprost do swej komory spieszył. Drzwi zaledwie nie wybił, tak w nie się cisnął gwałtownie, na czeladź swą krzycząc. Jeszcze w progu stał, gdy Mistrz Zula nadbiegł za nim przestraszony.

– E! Klecho! – wykrzyknął ujrawszy go Pawlik – bywaj mi zdrowy! Dostyc ty mnie nad księgami namordowałeś. Skończyło się panowanie twoje.

Ksiądz oniemiały stał i żegnał się.

– Co ci to? Pawlik?

– Co mi? Klecho! otom swobodny! Na konia siadam! Rozumiesz, na konia! i wylecę raz przecie z tej obrzydłej dziury na świat! Tak!

Czeladź nadbiegła. Wnet Klechę porzucił, który stał osłupiały w progu, jeszcze się ruszyć niemogąc, tak był zdumiony tą mową.

– Konia siodłać! Zbroję dawaj! słyszysz! Szmyga pójdzie podemnie.. Was dwóch łajdaków ze mną! a zbróćcie się po uszy!

Chwycił za miecz ze ściany, który zerwał niecierpliwie razem z kółkiem na którym wisiał, tuż i za zbroję porywając, rozrzucając wszystko do koła siebie jak szalony.

Pijany był – pamięć postradał nie wiedział co czynił.

Na tę chwilę nadbiegł Wojusz, do którego Zula się zwrócił, oczyma pytając go, co to wszystko znaczyć miało. Pawlik spojrział nań z ukosa, podejrzliwie, bo Sowa zaczynał czeladzią rozporządzać i dawać rozkazy.

– Dziesięciu najmniej na koń, z nami. Jontek, Brzyż, Duma, Kołek...

Pawlik zwrócił się dumnie.

– Co to, z nami? – spytał – nie z nami, tylko – ze mną!

– Nie z tobą tylko z nami! – zakrzyczał Wojusz. – Tak! Jeszcześ ty mi się z garści nie wyrwał! nie! Pojedziesz ale ja cię poprowadzę.

Pawlikowi z rąk wypadł mieczyk, który trzymał.

– O tak! tak! – burczał stary – nie zbędziesz się mnie łatwo. Trzeba będzie ginąć, poginiemy razem, a można będzie szafuna za uszy wyciągnąć z topieli, jeszcze się zda stary...

Pawlik się uśmiechnął, odeszła go nieco buta. Po chwili namysłu zaczął znów napędzać do pospiechu.

W podwórcach już były wydane rozkazy do drogi, odbywało się z różnych stron trąbienie, ludzie zgromadzeni tu, skupiali się, nawoływali i zwolna na podzamcze wyjeżdżali.

Niektórych dokarmiano jeszcze z necułek, pojono z wiader, opóźniali się przy nich, inni nalewali w podróże beczułki, chwytali mięsiwo do torb, większa część z odretwiałością jakąś szła bezmyślna, czując niechybną zgubę, nie dbając o nic.

Starszyna jedna szła żegnać się ze starym Jazdonem, druga zmawiała się jak i kiedy ku Lignicy do księcia Henryka ciągnąć mieli.

Nie wszyscy przecie byli tak złej myśli, jak ci, co się o Tatarów już otarli. Wiedziano o wielkich siłach na Szlązku się gromadzących, i że im też czeskie posiłki w pomoc ciągnęły, krzyżacy (jak mówiono) całym zastępem z pod Prus, z Morawy książe i inni polscy Piastowicze.

Choćby mrówia pogańskiego najwięcej było, tym, co się jeszcze ludzi chcieli, nie zdawało się podobnem, aby niemiecka broń i ład tłumom dzikim nie podołały; zwłaszcza, że owe Tatary, jak Żeleziec i inni opowiadali, zbroi żadnych osobliwych nie mieli, ale liche tylko skórzane, bawole pancerze z przodu a miecze małe i kuszy żadnych, tylko łuki. Zdało się mężom okutym w żelazo, wojować umiejącym, iż tę hałastrę, choć mnogą, znieść będą mogli i rozpędzić łatwo.

Tak sobie gwarząc serca dodawano. Inni słuchając milczeli i ramionami poruszali.

Pawlik rwał się, aby co najprędzej gotowym być, a tu mu z rąk w pospiechu padało wszystko.. Czeladź na pożegnanie rozbiegła się do dziewcząt, konie ledwie odziewać zaczęto. Wojusz nawet stary głowę straciwszy latał i kłął, nie mogąc pozbierać, co mu było potrzeba.

Pawlikowi tym czasem chłopcy zbroję rzemykami przymocowywali, ksiądz stał z załamanymi rękami. Pocziwy Klecha przywiązał się był do ucznia swojego. Szalony chłopak choć do ksiąg ochoty wielkiej nie miał, gdy go do nich i do nauki przyparto, zdolności zdradzał wielkie, tak, iż nieraz powolnego umysłu ks. Zulę w zdumienie wprawiał.

Klecha powiadał czasem, że gdyby jeno Pawlik chciał, a łaska Boża nań zstąpiła, łatwo by mógł zostać wielkim kościoła świecznikiem.

Ile razy to mówił Mistrz, Pawlik się za boki brał ze śmiechu i poświstywał, zaklinając się, że wołałby głowę stracić, niż się dać postrzydź i wdziac suknię kleszą.

– Jam się do tego nie zdał, – wołał – a gdybym pastorał do rąk dostał, byłby w rękach moich kijem i dałby się we znaki grzbietom waszym.

Pamięć chłopak miał szaloną, tak, że raz przeczytawszy lub przesłuchawszy pieśń czy modlitwę, zaraz ją powtarzał bez omyłki, i już raz na zawsze umiał. Nauczył go był ks. Zula czytać dobrze, a i pisać podczas, gdy mu ochota przyszła, potrafił tak jak najlepszy kaligraf lub skryba, wywijając około liter zygzaki i floresy, bo go to, gdy ze psami iść w las nie mógł – zabawiało. – Miał zaś naturę tak rzeźką, że do góry brzuchem nigdy leżeć nie mógł i musiał zawsze coś robić, gzić się, prześmiewać, judzić drugich, biegać, psoty wyrządzać – byle spokojnym nie siedzieć.

Wyrywał się z rąk nauczycielowi, Wojusz go też utrzymać nie mógł, ludzie co mu służyli, choć który z nich miał łaskę, wszyscy od niego cierpieć musieli, bo najmniejszego przeciwieństwa swej samowoli nie znosił.

Gdy mu który odbąknął, gotów był ubić, a w uniesieniu namiętności nie zważał na nic, w ogień, w wodę, byle postawić na swoim...

Ojciec cicho czasem mruzczał skarżącemu się Wojuszowi.

– Takim ci ja był!

Trzeba go było kochać albo nienawidzić, bo umiał zarówno łaskę sobie pozyskać gdy chciał, i wrogiem zrobić człeka, a – co dziwna, większą mu pono radość sprawiało zalać komu sadła za skórę, do wściekłości doprowadzić, do szaleństwa rozłaskotać, niż się kochać kazać.

Natura była taka zjadliwa, co się cudzym bolem napawała z jakąś rozkoszą okrutną...

Ludzie jeszcze byli dzicy w tych czasach, przynajmniej ci, których religja nie czyniła namiętnie pobożnemi, wszystko przebierało miarę; wiara przechodziła w fanatyzm, męstwo w okrucieństwo, pokora we Franciszkowe spłaszczanie się i nędzę. – Dzieci rodziców takich jak Jazdon, dziedziczyły po nich krew wrzącą.

Znał to najlepiej piastun Pawlika Wojusz, który od dzieciństwa przy nim będąc, nieraz słowy nie mogąc mu dać rady, pięści nań zażywać musiał. Przychodziło do walki z wyrostkiem, który jak zwierzę kąsał swego dozorcę. Naówczas Sowa silniejszy jeszcze, brał na ręce rozwścieklonego i spętanego kładł na pokutę, dopóki się nie wyburzył.

Rosło to niepoprawne, tak, że z oka go spuścić nie było można na chwilę. Wojusz wiedział to i wiedział, że żadne wyrwanie się na swobodę bezkrwawe i bezkarne być nie może.

Wszystkie namiętności rozwinęły się w nim bujno i przedwcześnie. Zapamiętałe gnał na łowy, na dzikie, nieujędzone skakał konie, chłopców danych mu do posługi mordował, czeladź niewieścią ścigał po kątach bezwstydnie. Chłosta, głód, łajanie nie pomagały nic. Czasem już Wojusz z rozpaczy próbował łagodności, słów dobrych, ksiądz Zula czytał przykłady, kazania prawil. Lecz że Klecha powolny był i trwożliwy, a dziecko zuchwałe, najczęściej się na tem kończyło, że mistrzowi gębę zamknął szyderstwem bezbożnem, które posłyszawszy truchlał.

Kając mu się kazać próżno było; nie lękał się niczego, siłę w sobie czuł niezwyciężoną.

Wojusz myślał czasami że gdy się to piwo wyrobi, rycerz z niego będzie dzielny, bo był łowiec namiętny, a we wszystkich igrzyskach wojacyjnych bardzo zręczny. Mimo to ducha prawdziwie rycerskiego nie miał. Przykrzyło mu się myśliwstwo, gdy długo trwało, gonitwy gdy się przeciągnęły nawet koń i psy, potrzebował ciągłych zmian, aby mu smakowało życie.

Jedno tylko tkwić mu się zdało jak gwóźdź w głowie i sercu – to chęć przewodzenia wszystkim i rozkazywania. On sam słuchać nie umiał, lecz wolę swą gotów był przemocą narzucać drugim. Na gródku, gdy się jeno ukazał, ludzie uciekali, starych i młodych natychmiast brał w garść, a rozkazywał im takie szaleństwa, jakie sam popełniał.

Naumyślnie wydumywał niemożliwe rzeczy, aby czeladź dręczyć niemi. Toż samo robił z innemi stworzeniami. Oparł mu się koń, to się z nim borykał, tłukł, bił, aż najczęściej i sam się pokaleczył i jego zamordował.

Pokasał go pies podrażniony, to go za gardło chwycił i zdusił.

Bali się go we dworze jak ognia, a mało było takich, coby śladów igraszek nie nosili na sobie.

– Rycerzem ci nie być chyba zbójem! – mruczał Wojusz.

Pawlik ramionami trząsał.

– Albo ja wiem czem będę? – odpowiadał śmiejąc się, – będę takim co rozkazuje. Mnie jedno czy z konia, czy ze stołka, czy z pod ołtarza... byłem nikogo nie słuchał, a za łby wodził drugich...

Wojusz kręcił głową.

– Biskupi też rozkazują, jak i książęta, – mówił szydząc zeń, – łatwiej zostać biskupem niż księciem... Chce ci się widać plechy na głowie i pierścienia, a co naówczas będzie z dziewczętami, na któreś tak łasy?

Pawlik pogardliwie się uśmiechał.

– Czem ja będę? – wołał dumnie, – ani ja wiem, ani twoja głupia głowa odgadnie... To pewno, że zginąć zginę a słuchać nie myślę, bo mi karku nikt nie ugnie.

Takiego to wychowanek miał na krwawą wojnę prowadzić Wojusz, który się doń przywiązał i żal mu go było puszczać samego. Wiedział, iż ocalić go może i że zginie pewnie. Staremu już ochłap życia pozostały, nie wiele był wart, ceny doń nie przywiązywał. Śmierć lekceważył i wybierał się obojętnie na tę wojnę, pewien, że z niej nie powróci.

Jazdon przemyślał dumając, ażali już syna zobaczy, ale trzymać go nie miał siły, ani on, ni Wojusz, nikt.

Między ludźmi mógł się otrzeć i guza napytawszy złagodnieć. – Wola Boża.

Gdy Pawlik przywdział zbroję, przypasał miecz, dumny swą rycerską postawą, która go jak dziecko bawiła, przyszedł do ojca żegnać się i do nóg mu padł, stary się rozrzewnił, milcząco go do piersi wyschłej przycisnął, zapłakał i pobłogosławił.

– Statkuj, nie szalej! – zajęczał, – Wojusza słuchaj, ja zdaję nań władzę ojca! Bóg z tobą, Bóg z wami.

Wskazał im ręką, aby odeszli prędzej, bo mu tak we łzach rozmięknąć wstyd było.

Gdy za sobą zamknęli drzwi izby i wyszli siadać na konie, już było owo rycerstwo, z którym jechać mieli, wytoczyło się z gródka na pole i szło nie czekając dalej. Pawlik wiedział, że je łatwo dogoni, a tu jeszcze czeladź chciał żegnać, która mu się, choć pobita i potłuczona – kłaniała do ziemi, mało nie szlochając...

Żal im go było.

Dalej stały u drugiego dworu białym pasem, ściśnięte w gromadę, stare i młode niewiasty, które wszystkie powybiegały patrzeć na wyjeżdżającego pana. Niektóre fartuszkami łyzy ocierały. Nie mógł wstrzymać się Pawlik i choć zgroza była wielka, a Wojusz mu drogę zapierał, wyrwał się z koniem wprost na ten zastęp babi.

Jadąc śmiał się i mrugał na nie bezwstydnie.

– Słuchaj ty! mała Dońka, żebyś mi wianka nie straciła, dopóki ja nie wrócę! – krzyczał na głos – Kto ci go weźmie, łeb mu ukreć, tak mi Boże pomóż. Stara Rędzicha pilnuj mi jej jak oka w głowie, bo i tobie bicz plecy poskrobie...

Ty, Marusza! nie szalej też, a do parobków zębów nie szczerz... Jeszcze ja powrócę!

Niektóre się pochowały przed nim, inne śmiejąc się głowy podnosiły, on do konia się przytuliwszy, ryhotał też i znaki im dawał.

– A to srom i hańba! – krzyknął Wojusz – co by miał, psia wiara, jechać do kaplicy, żeby mu Zula choć pobłogosławił na drogę, idzie do dziewcząt, niezdara, po błogosławieństwo! A dam ja ci, ty...

Zamachnąwszy się z koniem za nim popędził Wojusz, aby go od bab odegnąć, ale Pawlik już umknął, i w drugi koniec dziedzińca poleciał. Tam w istocie stał kleryk Zula z kropidłem i książeczką, z modlitwą i łą w oku.

Strzymał przed nim konia chłopak.

– Słuchaj, Zula! co ty tu będziesz siedział sam jeden w tej dziurze? Albo ty to dwóch rąk nie masz? Nibyś ty klecha ale nie święcony pono ze wszystkim. Na koń ci lepiej z nami sięść, niż ze starymi babami zostać, bo do młodych masz obrzydliwość! Jedź i ty ze mną! Coś ty, nie mężczyzna? a no? – jedź! Będziesz nam błogosławił po drodze i modlitwy czytał, abyśmy o panu Bogu nie zapomnieli. Zula! na koń! z nami!

Błady klecha drgnął... Głos był nakazujący jakiś, nie pozwalający, by mu się opierano.

– Zula, na koń! – powtórzył Pawlik.

Wojusz obok stojący milczał z podziwienia. Widział, że powolny klecha już się wahał i nie ledwie go był gotów usłuchać.

A Pawlik – śmiał się. Właśnie mu to robiło rozkosz wielką, iż klechę gził i stawiał go w trudnym położeniu.

– Zula, na koń! Czykor, podaj klesze wołochatego, tego co lekko nosi. To dla niego sam koń! Baba by na nim z garnkiem mleka jechać mogła, a nogi żelazne...

Z Zulą stało się coś takiego, iż gotów był już usłuchać rozkazania i zamiast w podróż błogosławić, sam się w nią wybrać. Sowa ciągle ramiony ruszał i spluwał. – Na przekorę jemu chłopak nalegał.

– Zula, jedź! Przynajmniej z tobą dusz nie pogubiemy, o Bogu nie zapomnim, a padniemy, będzie komu *Requiem* zaśpiewać.

Dwie swory psów i klechę – dodał zuchwale – muszę z sobą wziąć.. to darmo.. Nie pojedę bez nich...

Wojusz buchnął łajaniem.

W tem stała się rzecz niepojęta, klecha jakby rażony nagle myślą jakąś, zawołał, aby mu dano opończę i poszedł do konia.

Rzekł stanowczo:

– Jadę!

Widząc to pachotkowie śmiechem parsknęli. – Wojusz się gniewał. – Zaczął burczeć.

– Jedną tylko gębą więcj! Ciemięztwo będzie! klecha się podbije i zostanie gdzie...

Lecz w mgnieniu oka Zula już był odziany, agendkę do kieszeni kładł.

– Tak – rzekł – słuszna rzecz, Boga wam przypominać będę, zdam się. Chleba nie odjem wiele.

Postawiwszy na swoim Pawlik, zdawał się już o to nie wiele dbać. Odwrócił się od księdza, który z tyłu pozostał.

Konia ściągnął chłopak, po podwórcach butnem rzucił okiem, jakby je żegnał i nim się Wojusz opatrzył w cwał puścił się za bramę... Za nim konie czeladzi, nawykłe go ścigać, wyrwały się jak szalone, nie było ich strzymać.

Wojusz i Zula musieli doganiać. Stary Półkoza kłął:

– Bodajeś karku nakręcił!

Z tym szaleńcem nie można było inaczej.

Rycerstwo z Jaksą Sulisławem już, dobrze się od gródka odbiwszy, wjeżdżało w las i ogon tylko pochodu widać było w dolinie, gdy Pawlik z wrót wyskoczywszy, gonić począł jak szalony.

Po koniu i po nim znać było, że się z długiej niewoli na swobodę wyrwali. Zamiast jechać wprost na ludzi, Pawlik począł kręgami wywijać po dolinie na złość Wojuszowi, sadząc przez rowy i opłotki. Psy za nim, czeladź za niemi. Harce się niepotrzebne zawzięły, a Sowa piersi zrywał wołając opamiętania.

Zula, którego koń nosił, trzymał go z sił całych nie mogąc powściągnąć, aż zdawszy się na wolę Bożą, dał szkapie szaleć jak chciała.

Nagle Pawlik zerwał swojego i stanął jak wmurowany, wyprostował się i jechał stępią...

Poplątawszy się chwilę, wszyscy zdyszani zaczęli się przy nim i za nim ustawiać. Wojusz dopadłszy łajał i kłął w niebogłoty... Chłopak śmiał się.

Jechali tedy już po ludzku, naprzód krok za krokiem, aby się szkapy wysapały, potem kłusem, by dogonić Sulisławowych, którzy się mieli czas oddalić.

W lesie przed niemi słychać było nuconą przez wojsko pobożną, starą pieśń do Bogarodzicy.

Jeden bowiem Pawlik może jechał tak rozszalały, reszta wszystka smętna była i poważna. Wiedzieli, że niosą życie na ofiarę za wiarę, kościoły, rodziny i domy...

Każdy jechał na śmierć się sposobiać.. Obawiano się, aby z niewielkim oddziałem zdążając ku Lignicy, nimby się z księciem Henrykiem połączyli – nie wpadli gdzie na zagon tatarski, któremu by ze słabą garścią opierać się nawet nie mogli.

Trzeba więc było lasami się przedzierać, słać na zwiady przodem, aby bezpiecznie się prześliznąć. Rzadko gdzie dzicz tatarska, i to tylko popłoszona, zapuszczała się w gąszcze i lasy.

Nawykli do stepów najezdniczy, czuli się w polu bezpieczniejszemi.

Sulisław mądrze swoich prowadził. O Tatarach też wieści łatwo było dostać. Szli, prawda, i spadali na nieopatrne ziemie, kędy się ich nie spodziewano, lecz poprzedzały ich łuny i dymy, a małymi oddziałami nie wyrwali się naprzód.

W lasach też wszędzie spotkać było można tych, co pospieszyli uchronić się przed nawałą. Zbieg był najpewniejszym znakiem zbliżania się dziczy. Spustoszenie, które ona niosła z sobą, rozciągało się na mil kilkanaście w koło, lecz pasem szło, szerokim szlakiem, jedną wielką ławą – a co zbiegało w czas, ocalało z żywotem...

Dla tego po owych najazdach tatarskich, morderczych i strasznych – klęski były niezmierne, straty niepowetowane, ale się kraj prędko odżywiał, bo więcej zawsze uratowało się zbiegając, niż padło.

Gdy z małą swą drużyną Pawlik nareście się z oddziałem Sulisława połączył, trafił w nim zaraz, na niemal tak młodego jak sam był rycerza, do którego – śmiałym będąc zawsze – natychmiast się zbliżył, podjechał i zagadnął go poufale jako brata po mieczu.

Był to mężczyzna, sławny już z niejednego rozgłośnego czynu Janisław, młodzian urodziwy, pięknej postawy, w którym widać było rycerskie męstwo, ale razem statek i powagę, nad wiek może. Nadrabiał miną, aby się starszym wydał.

Pawlik mu dość w oko wpadł, domyślił się w nim kto był, bo już po wojsku rozpowiadano, że syn Jazdona miał się do nich przyłączyć. I, jak zawsze, dwie natury sprzeczne ku sobie ciągną, Janisław ten, co z karności słynał, upodobał sobie warchoła.

Pawlikowi też nikt miłszym być nie mógł nad takiego jednolatka, z którym mógł być jakby z bratem.

Poczęli rozmowę, naprzód o koniach, bo Tatarów w głowie nie miał syn Jazdona, a był im bardzo wdzięczny że mu do wyzwolenia z domu w pomoc poszli.

Miał i ten przymiot Pawlik szalony, że gdy o myślistwie albo o koniach rozповідаł, niestworzone rzeczy lubił wymyślać. Śmiał się z tego sam, bawiło go, gdy ludzie się zdumiewali i sarkali. Poważny Janisław dał mu się tem rozrywać.

A że reszta oddziału srodze była posępna, Pawlik zaś pustował i śmiał się, wszyscy się za niemi oglądali, radzi temu, że im jeszcze ktoś trochę wesela przyniósł do ich czarnego smutku.

Radzi mu byli jakoś, że on jeden serca nie stracił, co drugim go dodawało.

Niemal do nocy, jadąc przy nim, gdy mu się gęba nie zamykała, Janisław więcej słuchał niż mówił. Aż gdy już ku spoczynkowi noclegowemu się zbliżali i zaczęto obozowisko wytykać, z którego przed świtem ruszać mieli dalej, nowy towarzysz rzekł do swobodnie poczynającego sobie Pawlika.

– Patrzajcie no, abyście gdy na spoczynek zatrąbią, nie szaleli, bo z naszym panem Sulisławem igrać nie zdrowo... Słuchać potrzeba i patrzeć skinienia.

Pogroził mu nieco.

– Słuchać? – powtórzył oniemiały na chwilę Pawlik, patrząc mu w oczy ciekawie. – Słuchać! No! ciury juścić powinni tchu słuchać, ale my??

Janisław uśmiechnął się doń łagodnie.

– My tu wszyscy ciurami – rzekł, – gdy władza przy jednym. Ktoby się ważył na co przeciw woli wodza, łeb mu zetną jako nic.

Pawlik brałto za żarty, poruszył ramiony... i, stanęli na nocleg w lesie obozem...

IV

Klasztor w Krośnie ledwie mógł pomieścić gości, którzy doń szukając schronienia zbiegli z Trzebnicy.

Księżna Jadwiga, po Henryku Brodatym wdowa, pobożna pani, której życie upływało w najsroźszej katowni własnego ciała a posługach najpokorniejszych siostrom zakonnym i ubogim, pani, która już na pół duchem była w niebiesiech, a po ziemi szła zdając się jej nie czuć i nie tykać, przybyła do warowniejszego Krośna, ciągnąc za sobą kilkadziesiąt sióstr Cystersek, swój dwór cały i tych trzynastu ubogich, na których nędzy i chorobach uczyła się bezmiernego miłosierdzia.

Uchodziła ze swej Trzebnicy, z pięknego klasztoru, od swego drogiego kościoła i szpitalu, z tych miejsc, które na jej skinienie wśród trzęsawisk i moczarów jakby cudem murami się okryły – nie dla własnego bezpieczeństwa, bo męczeństwo dla niej upragnionem było, ale dla tych sióstr swych, co z trwogi marły w Trzebnicy, modlić się nawet nie mogąc i Boga chwalić.

Napróżno tę ich lekliwość karcąc surowo, księżna Jadwiga przypominała im, że bez woli Bożej włos nie spada z głowy człowieka, a przed wyrokiem Bożym żadna warownia nie obroni, lekliwego ducha siostry błagały ją tak, że w końcu, litując się im księżna wszystkim, co Trzebnicę zaludniali, ruszyć kazała do Krośna.

Tu świeżo wzniesiony klasztor dla klarysek, przyjmując ich musiał i dać schronienie męźnej pani z jej trwożliwymi towarzyszkami.

Jej jednej w najstraszniejszych życia próbach nigdy spokój nie opuścił, na który patrząc truchleli ludzie, tak do nieczułości i odrętwienia był podobnym.

Nigdy łza niepostała na jej licu, chyba, gdy rozgorzała na samotnej modlitwie; nigdy jęk się z jej piersi nie dobył.

Tego czasu księżna Jadwiga była już chodzącym posągiem świętej.

Wychudła, wybladła, woskowo-żółta niewiasta, w jednej zawsze sukni wełnianej na włosiennicę narzuconej, bosonoga zimą i w lecie, z poranionymi stopy – jak cień jakiś dzień i noc snująca się po korytarzach, po kościele, po barłogach najwstrętniejszego ubóstwa, którego plugawe rany całowała z rozkoszą – żyła już tylko jakimś cudownym nadziemskim żywotem.

Nie miała nigdy spoczynku, nie znała łoża, nie siadała do stołu, żyć się zdawała niczem, krwią własną, siłą woli. Nocą znajdowano ją w kościele na extatycznej modlitwie, dniem albo wymiatającą śmiecie klasztorne, lub całującą ślady siostr i pijącą wodę, w której się myły.

Pokora jakaś okrutna nad sobą, nadawała jej majestat dziwny.

W twarzy tej zastygłej, martwej, nieporuszającej się niczem, oczy zaiskrzone, śmiałe patrzyły tak, jakby człowieka aż do wnętrza duszy jego na wskroś przejrzeć mogły.

I miała tę moc, że go widziała w istocie. Nie jeden raz przychodzącą zakonnice, gdy oczyma zmierzyła, dobyła z niej, o czym Bóg jeden mógł wiedzieć.

– Idź ztąd – mówiła do strwożonej – idź i spowiadaj się z tego ciężkiego grzechu, którym obrzemiona tu przychodzisz.

Zawstydzona grzesznica uciekała zasłaniając oczy, rażona tem jasnowidzeniem cudownym.

Gdy Henryk Brodaty, mąż jej, z którym już oddawna nie żyła, nawiedzał ją w Trzebnicy, a zapytywał o śmierć swoją, westchnąwszy radziła mu, ażeby nie wyjeżdżał z Lignicy.

Pomimo przestrogi, udał się książę Henryk do Krośna i tam nań śmierć przypadła.

Nim jej o zgonie jego wiedzieć dano, wiedziała już o nim, ale gdy klasztor rozległ się płaczem i żalem po dobroczyńcy swym, poczęła karcieć siostry surowo.

Sama nie wylała łzy jednej.

– Należy się zgodzić z wolą Bożą, a nie szemrać przeciw niej i wyrzekać – mówiła spokojnie.

Widok zwłok męża nie zmienił tej żelaznej bezlitości pobożnej a strasznej, bo ona w niej ludzkie wysuszyła serce.

Patrzano z trwogą na tę istotę błogosławioną, której śmierć sama zatrwożyć, ani poruszyć nie mogła.

Z tego wyrzeczenia się wszelkiego uczucia ludzkiego nic ją wyrwać nie zdołało; nie była już żywą niewiastą, ale cieniem z drugiego świata wygnanym na ziemię.

Miała litość w sercu ale tylko nad temi maluczkiemi a nędznymi, którzy swą nędzą spadli już na ostatni szczebel dzielący zwierzę od człowieka.

Trzynastu takich nędzarzy, pokrytych rany obrzydliwymi, krostawych, brudnych, ropiejących, połamanych, miała przy sobie zawsze na wyprobowanie chrześcijańskiego miłosierdzia. Tych ona sama wybierała sobie najpoczwarniejszych, najwstrętniejszych, najdzikszych, w pół oszalałych, aby od nich i przez nich jak najwięcej cierpieć mogła.

Tych trzynastu kaleków obchodziło się z nią bezlitośnie, wiedząc, że im wszystko wolno było.

Ludzie ci, albo raczej potwory, znęcali się nad świętą niewiastą, która od nich z rozkoszą znosiła wszystko. Im więcej ją dręczyli, tem szczęśliwszą była.

Wszystka ta gawiedź potworna, na wozach, jak najdroższy skarb księżnej, do Krośna za nią przewiezioną została.

Tuż u drzwi klasztornych musiała mieć tę wrzawliwą gromadę dobrocią jej rozzuchwalonych bab i dziadów. Dla nich szło najlepsze jadło, okrycie najdroższe, napój najczystszy, gdy ona sama żywiła się tem tylko, co wstręt obudzać mogło.

Oprócz tego osobliwszego dworu, wiodła z sobą księżna Jadwiga synowę, nieszczęśliwą a zbolałą niewiastę, żonę Henryka Pobożnego, matkę kilkorga dzieci, której mąż właśnie się przygotowywał w Lignicy na odparcie dziczy tatarskiej.

A gdy Anna zalewała się łzami o mężu myśląc, kamienna święta matka, zawczasu już widziała, że syn jej polegnie śmiercią męczeńską i synowej nie czyniąc żadnej nadziei – powiadała jej.

– Zabijają go! zabijają! Ty stracisz męża, ja syna, ale umrze święcie za wiarę chrześcijańską, w walce z pogany i odkupi krwią grzechy swoje.

Bezlitośnie, okrutnie, nie szczędząc synowej ni siebie, powtarzała te słowa mieczowe, wprost je miotając do jej serca.

– Tak jest, Anno! padnie mąż twój, padnie syn mój, a nam się go opłakiwać nie będzie godziło. Łza grzechemby była.

Taką była Jadwiga wyszła od postów, z poranionemi od mrozów i chodzenia po kamieniach nogami, z ciałem od chłost codziennych popadanem – ubłogosławiona za życia, lecz nic już ludzkiego nie mająca w sobie.

Czczono ją też jak świętą, lecz na widok jej nie miłością a trwogą napełniały się dusze.

Dorównać jej nie mógł nikt, wstydzić się musiał każdy – spojrzenie napełniało strachem.

Był dzień wczesnej wiosny, zimny i wietrzny. Księżna, która i tej nocy do snu się nie kładła, spędziwszy ją na modlitwie w kościele, gdy rano wyszła ku dworowi swemu, rzekła obracając się do kapelana swego Lutolda i komorników.

– Patrzajcie, aby na stół była strawa gotową, bo tylko nie widać Henryka, który tu nadbieży z Lignicy.

Przytomna synowa księżna Anna stojąca za nią, zbliżyła się w rękę ją całując.

– Matko kochana – zawołała żywo i rumieniec na twarz jej zbladła i zmęczoną wystąpił – matko! mieliście więc posłanie od Henryka?

Księżna Jadwiga potrząsała głową.

– Posłaniec niebieski powiedział mi na modlitwie, iż go tu dziś widzieć będziemy! Tak, przybędzie tu raz jeszcze po błogosławieństwo moje, na pożegnanie z tobą.. raz ostatni – —

Spojrząwszy na synową zachodzącą się od płaczu, zamilkła ks. Jadwiga, ale twarz jej smutna zawsze, przybrała wyraz surowy.

– Nie płacz że – dodała sucho – nie godzi się przeciwieć woli Boga, ani żałować tych, co idą ku niemu do wiekuistej światłości.

Księżna Anna nieśmiało odpowiedzieć, stłumiła łzy swoje.

Przepowiednia przybycia radośna walczyła w niej ze straszną wieszczbą śmierci, w której niechybność wierzyć się nauczyła.

Nieporuszona temi łzami, które łkanie zdradzało, księżna Jadwiga poszła wedle zwyczaju do ubogich... Izby u furty dla nich wyznaczone, niskie, ogrzane i okadzone – pełne były dzikiego, niesfornego gwaru. Wybrańców tych księżnej żadna siła poskromić nie mogła, czuli że tu panami byli.

Izba przedstawiała obraz wstrętliwy i ohydny.

Na posłaniu ze słomy do koła leżeli ludzie z nieludzkimi twarzami, ranami okryci szpetnemi, z narościami, które ich twarzom i głowom nadawały potworne, niebywałe kształty.

Zaraz u drzwi leżący, kijem wywijając kłócił się wszetecznemi słowy człek z okiem wysadzonym z powiek, ogromnem, sinem, sterczącem jak szyszka.

Był to najzuchwalszy z nich – krzyk jego, a raczej wycie namiętne, rozlegało się po izbie. Dalej na przemiany w łachmanach brudnych i kosztownych płachtach przez księżnę darowanych, które się wśród śmiecia z niemi tarzały, – leżeli garbaci, chromi, okryci trądem śliznącym, ranami ciekąciami, ulubieńcy księżnej.

Wszystko to rwało chciwie z mis stojących między niemi, piło z kuflów drewnianych i rozzuchwalone waśniło się, wyrazy plugawemi i sprośnemi w oczy sobie rzucając.

W chwili, gdy się otwarły drzwi, a księżna stanęła w nich z dwiema towarzyszkami, ulubioną Rasławą i Pianozą – syknął jeden z ubogich, i nagle nastąpiło milczenie. Nie trwało ono długo, wrzawa nastąpiła straszniejsza jeszcze.

Blizsi drzwi wyciągając ręce poczęli za szaty chwytać wchodzącą, która się ku nim z kolei dobrotliwie pochylała – drudzy przywoływali ją ku sobie. Nie unikając zetknięcia z niemi, szukając go księżna szła zwolna lubując się widokiem tego cielesnego plugastwa, które dla niej wszystką światła marność i brzydotę uosobiało.

Tu na tej męczarni oczów i oddechu, wśród tych wzywań choroby i zgnilizny było jej najlepiej, tu uczyła się pogardzać skorupą życia, tu nie spotykała ani zwodniczego wdzięku, ani uroczej młodości, ani tego, co światła kusi ponętą. Tu się jej usta nieco uśmiechnąć umiały, nawet niezdarnym wyrazom tych istot potwornych, które uszanować jej nie nauczyły się.

Dwie towarzyszki księżnej szły za nią strwożone ale posłuszne, na licach ich widać było obrzydzenie, wstręt do tej rozpasanej zgrai.

Drgały i bladły, a gdy spowiednik księżnej opat Gunther otworzył drzwi wołając, iż książę Henryk przybywa – odetchnęły lżej, bo księżna iść musiała na powitanie syna, które dla niej ostatniem było żegnaniem. Żywym oglądać go miała, a widzieć martwym w duszy.

Orszak książęcy nadciągał właśnie. – Był on nie wielki ale świetny. Nie ustępował blaskiem ani okazałością żadnemu z najwspanialszych niemieckich książąt, a cudzoziemski miał pozór i był w istocie prawie z samych obcych złożony.

Rycerstwo już na śmierć przeznaczone, jakby po raz ostatni wystąpić chciało pańsko, świeciło całe zbrojami polerownemi, hełmy pozłocistemi, przepaskami jedwabnemi, pasami sadzonymi i łańcuchy.. Sam książę Henryk miał na sobie płaszcz fioletowy sobolami podbity, zbroję misternie rysowaną, a na głowie szyszak zamknięty, którego wierzchołek zdobił czarny orzeł rozpięty.

Mężka to była postać i ojca przypominająca, z twarzą ogorzałą wyrazu dumnego, z wzgardą jakąś na ustach, z wielką siłą we wzroku.

Za nim jechali dobrani doń, dorodni, butni towarzysze broni, przednich rodów niemieckich i ślązkich mężowie, wszyscy niemal tego co i książę wieku, lat dojrzałych, ale jeszcze trzymający się dzielnie i młodzieńczo.

Na widok matki jak najuboższa zakonnica odzianej, bo Jadwiga tylko w razach, gdy obcych przyjmowała, lepszy płaszcz ciemny na ramiona sobie narzucać kazała; – Henryk wzruszony z głową spuszczoną pośpieszył ku niej.. Za nią stała z zapłakanemi krwawo oczyma ks. Anna, żona jego, której się uśmiechnął smutnie.

Skłonił się do kolan matce, która rękę położyła na głowie jego i razem z nią weszli wewnątrz klasztoru.

Rycerstwo księcia Pobożnego, choć samo też pobożnem było, a o płochości teraz myśleć nie miało czasu – przecież do młodszych zakonnic, które z za furty ciekawie wyglądały, uśmiechać się zaczęło.

Takie to były – czasy. Z jednej strony surowość bezlitośna, z drugiej namiętności ludzkie niczem się poskromić nie dające, wyrrywające z żelaznych oków, jakie na nie wkładano. Nie za jedną też nowicyuszkę tej najsroźszej reguły ręczyć by trudno, by się zapłoniona rycerzowi nie uśmiechnęła nawzajem. Tem gorętszą była potem modlitwa.

Księżna za sobą wiodąc w milczeniu syna, który żonę trzymał za rękę i po cichu szeptał coś do niej, weszła do małej komnaty, w której obcych zwykła była przyjmować. Nie była to ta cela, w której się biczowała i noce trawiła czasem na twardem z desek pośłaniu, gdy znużenie już jej się na nogach utrzymać nie dawało.

Tu jeszcze księżnę poznać w niej było można po bogatym sprzęcie, gdy w celi swej jako zakonnica uboga mieszkała. Tam wisały tylko krzyże, obrazki patronek, Maryi Magdaleny, Katarzyny, Tekli, Urszuli – i lampki gorejące przed niemi.

Jak zwykle, księżna Jadwiga nigdy nie wypuszczająca z ręki małego z kości słoniowej wyobrażenia Matki Boskiej, które z sobą ciągle nosiła – zbliżyła je naprzód do ust bladych i pocałowała, nim do syna mówić zaczęła.

W tej praktyce pobożnej czerpała jakąś siłą. Wychudłe jej palce, kości skórą powleczone – z namiętnością obejmowały, ścisnęły ten wizerunek Matki boleści. Ona sama była nią też w tej chwili, ale ból okrywała chłodem, tak, że oko ludzkie dostrzec go nie mogło.

Rozmowa toczyła się, jak zawsze, po niemiecku.

– Przybyłem po błogosławieństwo wasze – westchnął książę Henryk. – Dzicz z pod Wrocławia, którego dobyć nie mogła, ciągnie na nas na Lignicę – czekamy na nią. Na Dobrem Polu rozstrzygną się losy nasze, a może – dodał książę – i całego chrześcijańskiego świata, a pewnie tej całej ziemi naszej stojącej otworem.

Księżna słuchała całując wizerunek Matki Bożej i nie przerywając synowi, oczy jej patrzyły gdzieś daleko, zdawała się go nie widzieć.

– Pięć silnych oddziałów – ciągnął dalej syn – postawiemy przeciwko nim, mąż w męża dobrani ludzie.. każdy z nas przeciw temu gadowi, jeden na dziesięciu ustoi.

– A ich jest stu na jednego z was – zawołała księżna Jadwiga. – Widzą ich oczy moje, widzą! Jest ich mnogość wielka, nieprzeliczona, tak, że gdybyście zgnetli jej połowę, starczy drugiej, by was pochłonęła.. Plaga to niebieska.. karanie Boże za grzechy... Umrzeć musicie za wiarę waszą, aby krew zmyła winy...

Księżna Anna słuchając matki, zanosić się z płaczu zaczęła – surowe wejrzenie jej zmusiło łąy połknąć.

– Nie zwyciężycie ich! nie! – mówiła powolnie. – A jakżebyście mogli, Henryku mój, tam pobić nieprzyjaciela, na tem Polu Niedobrem, gdzie – w piersi się uderz – ty, z własnym niegdyś walczyłeś bratem?

Tak było w istocie, na polu pod Lignicą w krwawej walce potykali się zwaśnieni Henryk z Bolesławem, rodzonym swym. Usłyszawszy to wspomnienie, drgnął książę.

– Nie mogłem uczynić inaczej, – zawołał – wyzwany był!

– Lecz walczyłeś z bratem i nie o sprawiedliwość, ale o panowanie marne, o ziemię tę lichą, której na grób tak mało potrzeba, a dumie waszej zawsze jej nie staje do syta. Więc dziś, gdy o życia swe i za sprawę świętą, bić się będziecie – poginiecie! bo taki jest – sąd Boży!

– O, matko moja! – jęknął Henryk, którego głos powtórzył się w piersi żony.

– Wyrok to nie mój a Boży! – chłodno odparła Jadwiga całując pobożnie wizerunek – ja go tylko wam zwiastuję, abys ty i rycerstwo tve wiedziało, że na śmierć idziecie, żebyście się pojednali z Bogiem, wzięli błogosławieństwo kapłana, tak jak ja wam moje daję...

To mówiąc ręką, w której trzymała posążek, krzyż zakreśliła nad schyloną głową syna i usta jej cichą jakąś poczęły szeptać modlitwę, którą łkanie tylko księżnej Anny, spartej na ramieniu męża i płaczącej – przerywało...

Henryk stał z twarzą smutną, ale mężką. Przepowiednia ta może godziła się z przecuciem jego, chociaż po cichu starał się uspakajać żonę.

Przypomnienie tej krwawej rozprawy z bratem pod Lignicą, serce mu boleśnie ścisnęło.

– Mamy – odezwał się, chcąc rozmowę odwrócić – mamy rycerzy niemieckiego zakonu z sobą i polski oddział nadciągnął niepośledni.. Morawianie też przyjdą i Czesi. Wszystek lud dorodny i męzny.

Księżna Jadwiga potrząsnęła głową.

– Stu na jednego i więcej ich będzie – rzekła – nie zmożecie! Stoi w piśmie, iż przyjdzie lud ze wschodu, który chrześcijaństwo wytrzebi, aby ono może zakwitło bujniej na pognoju ludzkich ciał i grzechów.

Wartli ten świat i ten wiek, aby nad niemi miał Bóg miłosierdzie? – dodała wzdychając ciężko. W grzechach brodziemy, brniemy w nich. Usty wyznajemy Chrystusa a sercami ciało miłujem, pruchno i zgniliznę! kto z nas godzien miłosierdzia?

– Ty, matko kochana! – zawołał książę Henryk przejęty – ty! I gdyby Bóg, jak stoi w piśmie, dla jednego sprawiedliwego gród był gotów ocalić, czyż dla cnót twych nie powinienby nas uratować?

Z groźnym krzykiem oburzenia przerwała mu matka.

– Nie bluźnij! Azali wiesz, ile ja grzechu na duszy mej noszę? ile słabości – ile plam, których pokuta zmyć nie może??

I pocałowała obrazek gorąco.

– Inne są sądy Boże a sądy ludzkie, bo On na serca patrzy, nie na twarze.

Książę Henryk spuścił głowę smutnie. Milczała modląc się księżna stara.

– Ciało posilić trzeba, – odezwała się po przestanku, słysząc dzwonek, który się odzywał zdaleka. – Tam dla was już stoi przygotowane jadlo... Idźcie więc, a ja do kościoła muszę...

Zawróciła się prędko ku celce swój, księżna Anna ujęła męża pod rękę i wywiodła go z sobą do izby jadalnej, która po za klasztorem żeńskim dla gości była przeznaczoną. Tu towarzystwo księcia Henryka znajdowało się czekając nań.

Osobny stół zastawiony był dla książąt na podwyższeniu. Siadła przy nim księżna Anna posługując mężowi, który mimo smutku i złych wróżb, znużony drogą, chciwie począł głód zaspokajać.

Inni też przy stołach zasiadłszy chwyтали już z mis i z drewnianych naczyń mięsiwa.

Uczta była więcej klasztorna niż książęca, a życie wówczas nawet po dworach pańskich dostatnie bardziej niż wykwintne. W dzień powszedni mięsiwo, polewka, kasza, składały całą zastawę, w post ryby i mączne potrawy. Piwo stało przed panami, wino przed księciem, woda obficie.

Całe prawie towarzystwo, gdy głośniejsz odzywać się zaczęło, okazało, iż wcale nie straciło ducha. Była chwila zwątpienia, gdy Ślązacy sądzili się osamotnieni, teraz przy nadciągających posiłkach nabrali otuchy.

– Hej! – odezwał się Henno z Rohrsteinu, – nie dziw, że to chłopstwo pogańskie Ruś pokonało, bo tam nigdy dobrego oręża i sprawy wojennej nie było. U nas w Niemczech inaczej jest. Pogańska wojna wszędzie jedna, dość popatrzeć, jak krzyżacy prusów motłochy rozpędzają i Litwę gonią a mordują kupami... Ta hołota zbroi nawet nie ma.

– Kilku ich zabitych nasi ludzie pod Wrocławiem widzieli, – rzekł drugi. – To bydło i nie rosło nawet, chuderlawe, mizerne, tylko zuchwale na śmierć idzie. Z przodu ledwie cokolwiek okryci są, a pospolity lud ledwie w łachmanach, na pół goły.

– Zbroje nasze pewnie coś warte, – odparł zdala zasłyszawszy zasepiony książę Henryk, – ale liczba też znaczy! Liczba nie jest bez wagi. Nie zmogą nas, jeden przeciw drugiemu stojąc, ale zasypią i zduszą...

– O! o! Bóg przecie z nami! – ozwał się jakiś głos z cicha.

– A grzechy nasze przeciwko nam, – wtrącił duchowny, który siedział w końcu stoła. – Gdyby nie one, bylibyśmy zwycięzcami w Palestynie i odzyskalibyśmy grób Pański a ziemię Świętą, przecież i tam Pan Bóg nie chciał błogosławić orężowi naszemu dla grzechów i przestępstw naszych... Saraceni precz wyganiają Franków, z tych miejsc, które już zajęli...

– Cesarz by nam przyszedł pewnie w pomoc, rzekł książę Henryk, bo niebezpieczeństwo i jemu grozi, gdy nas zmogą, ale ten jest we Włoszech zajęty.

– I Krzyżacy niepewni – szepnęł jeden z rycerzy. – Obiecują się oni przybyć do nas, ale wątpię czy staną w słowie, bo im ze Świętoplekiem na Pomorzu wojna grozi, a poganie, których tylko siłą ponawracali, bardzo się burzą.

– Nie odbierajcież sobie serca! – odezwał się książę. – Wola Boża! Stanie się co on postanowi, my nasz obowiązek spełniemy.

Rozmowa ciągnęła się tak niebardzo ochoczo przy stole, bo choć ją kto na weselszy ton nastroił, wnet drugi posepniejszą nutą chmurzył czoła.

Już poczynała czeladź misy uprzętać, gdy pachole księcia Henryka wpadło wołając od progu:

– Do Miłości waszej, goniec przybył z Lignicy!

Drgnął Książę, wszyscy przytomni ku drzwiom się zwrócili, niektórzy z ław wstawali, ciekawi i niespokojni, bo się dobrego poselstwa spodziewać nie mogli.

W całej sali poruszyło się wszystko... Księżna Anna ręce w górę podniosła i zakryła niemi oczy. Książę Henryk posunął się ku drzwiom, pomyślał trochę i gońca przywołać kazał.

Ten stał niedaleko za progiem cały zbłocony, słaniając się od zmęczenia, oparty o ścianę. Nie potrzebował mówić, bo z twarzy jego czytać mógł każdy, że był posłańcem Hiobowym.

– Książę Mieszko wysłał mnie tu.. – rzekł osłabłym głosem. – Tatarzy już ciągną, ledwie czas W. Miłości powrócić do Lignicy!

Zagony już codzien się bliżej ukazują. Wstrzymało ich to tylko, że gwałtem grodu we Wrocławiu chcą dostać. Wszyscy błagają, abyś W. Miłość powracał, bo bez Was w pole nie wyjdą.

Książę usłyszawszy to, z krwią zimną i energią wielką zawołał natychmiast:

– Na koń! na koń wszyscy!

Zła wieść zdawała mu się dodawać męztwa.

Mówiąc to spostrzegł, iż żona o stół się oparła, ażeby nie paść, podtrzymał ją słowem i ręką.

– Na koń! – powtórzył raz jeszcze – i wypadł z jadalni.

Rycerstwo sypnęło się z wrzawą i szczękiem precz z izby, nie czekając już na księcia, który siedł zwolna, ledwie wlokącą się za sobą, prowadząc żonę.

W mieszkaniu księżnej matki nie znaleźli jej, poufne jej służebne Katarzyna i Demunda milcząc na kościółek wskazały.

Stał on pusty, gdy z żoną wszedł do niego książę Henryk, posepny dzień jeszcze ciemniejszym niż zwykle czynił wnętrze. Jedna lampka paliła się przed wielkim krucyfiksem na ołtarzu. Księżna Jadwiga, bosa jak zawsze, klęczała na kamieniach zimnych z podniesionymi do góry rękami wyschłymi, modląc się duchem nie ustami. Oczy jej pływały we łzach, ale twarz wybladła promieniowała uniesieniem, jakby z tego krzyża czarnego, na którym wisiał Chrystus, spłynęło na nią świeżo słowo pociechy. Zatopiona w sobie nieusłyszała kroków syna i synowej. Musieli stanąć za nią i czekać, nie śmiejąc jej przerywać modlitwy. Księżna Anna uklękła i płacząc modlić się też zaczęła.

Książę Henryk stał zadumany, tylko ręce złożyły mu się jak do modłów. We wnętrzu kościołka cisza panowała uroczysta, a przez drzwi otwarte od podwórza niekiedy wpadał odgłos wrzawy, gdyż towarzysze księcia gwarząc i wykrzykując, co prędzej koni dosiadali.

Księżna matka padła nareszcie u stopni ołtarza, całując ziemię z taką gorącością, jakby na niej świętych jakich stóp chciała uczcić ślady, podniosła się, zwróciła i przeżegnawszy a ucałowawszy trzymany w rękę wizerunek, zaczęła syna powoli prowadzić od ołtarza ku drzwiom. Lice jej promieniało natchnieniem, ona sama wydawała się ubłogosławioną.

– Idź, synu mój – mówiła – idź. Wybiła godzina ofiary! Bóg cię woła! Idź i nieś życie twe za świat chrześcijański, albowiem u trupa twojego stanie wał i fala, która miała świat zalać i pochłonąć – cofnie się potop krwawy, i chrześcijaństwo ocaleje! Idź, męczenniku mój, którym ja dumna jestem, po wieniec i koronę twą! Idź! Nie będą po tobie płakać oczy moje! ani serce moje, albowiem wybrany jesteś i błogosławiony. Idź w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego!

Księżna Anna płakała ciągle, tuląc się do mężowskiego ramienia. Stali w progu kościoła. Dotąd nieporuszony książę Henryk schylił się drżąc do nóg matki, łza mu błysnęła w oku. Nie mówiąc nic, żonę ucałował w czoło, ta z uścisku ostatniego puszczając go nie chcąc, uwiesiła mu się na szyi i księżna Jadwiga ujęła ją słabemi na pozór rękami, aby oderwać od męża.

– Niewiasto małego serca! – rzekła, – nie stawaj mu grzeszną miłością swą na drodze, nie odwódź go od przeznaczenia, nie kuś go łzami.. Niech idzie! niech spieszy!

Henryk stał jeszcze, gdy w podwórze wpadł posłaniec drugi od Opolskiego księcia.

– Tatarzy ciągną! – wołać począł z konia. – Wszyscy wodza wołają. Przybywajcie!

Na głos ten, któremu rycerstwo wtórowało okrzykiem zapału razem i trwogi, książę spojrział już tylko na żonę, na matkę i skoczył na konia, stojącego przed nim. Chłopię podało mu strzemień, drugie małą tarczę, którą u siodła przywiesił.

Zdjął hełm żegnając kościół, matkę, żonę i cały oddział z łoskotem ogromnym rzucił się z podwórza cisnąc we wrota. Czeladź klasztorna i niewiasty, zaniósł się od płaczu.

Księżna Anna zmożona żalnością wielką, jak stała padła na stopniach kościoła i rękami oczy zakrywszy płakała. Księżna matka jak posąg stała wryta, nie uroniwszy łzy, z oczyma w dal wlepionymi, jakby tam, gdzieś, widziała więcej niż ludzie wszyscy, – przyszłość całą, krew co się przelać miała i chwałę, co z niej miała wykwitnąć.

Po niebie gnały się szare obłoki jakimiś krwawymi blaski z dołu zarumienione, – niby krew też przelaną, przelać się mającą, zwiastując. Wiater pędził je z tamtej właśnie strony z kąd lała się owa czerń mongolska na nieszczęśliwą tę ziemię. W powietrzu, mimo wichru, brak było, czemby

pierś ludzka swobodnie odetchnąć mogła. Wszystkim zatruty wyziew jakiś tamował tchnienie, gryzł i szarpał spalone gardła.

Klasztorna służba długo niemogła odejść od progu, patrzyła osłupiała na tę garść ludzi, która pędziła drogą wprost na śmierć wiodącą!

V

Na wieży kościoła Panny Maryi w Lignicy stali oknem wazkiem rozpatrując się po okolicach, książę Henryk Pobożny, Mieczysław Opolski, Bolesław Morawski od poplątanej mowy Szepiółka zwany i Sulisław Jaksa brat krakowskiego wojewody, stali i patrzali niemi.

Widok, jaki na skraju doliny nad Nissą mieli przed oczyma, na chwilę myśli im odjął i mowę.

Tam, czerniały pola szeroko zasypane jak mrowiem czarnem tłumem, którego ruchy ledwie się ztąd dostrzedz dawały.

Wśród tego całuna olbrzymiego, co się po ziemi rozścielał, wznosiły się słupy dymu, wiatr ztamtąd przynosił wycia jakieś i huczenie głucho.

Wiało trwogą i groźbami ku Legnicy.

– Siedzmy tu zamknięci w wałach i murach – odezwał się ponuro książę Mieczysław – to jeszcze ze wszystkiego najrozumiejsza.

Przecie ani połowy ich niebyło w Krakowie, tych co się u Ś. Jędrzeja obronili tej nawale i wziąć nie dali.

W polu – —

Nikt mu nie odpowiadał, wszystkich oczy wlepione były w tę potworę leżącą na widnokręgu, która dziś, jutro do stóp grodu przepęłznąć miała.

Książę Henryk po namyśle obrócił się ku niemu.

– Nic, – rzekł – lepsza wyjść i z tą czernią się rozprawić, niż opasanym tu się męczyć i dusić, wystawionym na szyderstwo. Mężom po mężku stanąć przystało, a choćby i ginąć. —

– Mamy wiadomość pewną, że król Waclaw za dwa dni nadciągnie, – począł bełkocząc niewyraźnie Szepiółka – czekajmyż na niego.. Silniejsi będziemy...

– A któż ręczy, że brat Waclaw zastraszony tą powodzią nie cofnie się? My próżno się wyczekawszy nań, głodni i słabsi na duchu, będziemy musieli iść sami. Krzyżacy obiecani nas zawiedli, Waclawa nie jestem pewny.

– Mistrz zakonu miał przyjść tam z całą siłą, – rzekł Mieczysław, – a przysłał nam, jak na urągowisko kilku braci i knechtów garść lichą, bez której byśmy się obeszli!

Milczeli znowu zadumani.

Książę Henryk spał się o mur, wychylił głowę, popatrzył i dał znak schodzenia z wieży pierwszy wstąpiwszy na drabinę, która wiodła do górnego piętra.

Za nim ze spuszczonej głowy, milcząc, zwolna zchodzić zaczęli drudzy.

Od kościoła do zamku było niedaleko. Tu na dziedzińcach, w ulicach, na placach, wszędzie wśród wałów tłummy ściśniętego w szczupłym ich obrębie rycerstwa stały wyczekując niespokojnie rozkazów.

Henryk Pobożny nabrawszy mocnego postanowienia, by na nikogo nie czekając, stanowczą stoczyć walkę, wpadł do wielkiej izby na dole, do której za nim wtoczyli się wszyscy.

Twarz jego, nigdy nie tracąca rycerskiego wyrazu siły i energij, teraz zdawała się podwójną potęgą przekonania napiętnowana. Brew miał ściągniętą i usta zaciśnięte dumnie.

Inni patrzali nań jak na tego, któremu wyrokować przystało; – mniej pewny siebie Szepiółka był zmieszany i podrażniony. Opolski dumiał zasepiony, Sulisław nieco na uboczu stanąwszy czekał, rozglądał się do koła.

Książę okrążył wielkimi idąc krokami do koła, stół stojący w pośrodku sali. Kroki jego śmiałe i pewne rozlegały się, mówić zdając równie wyraziście jak jego słowa, iż niezmiennie już

powziął postanowienie.. Zgadywano iż chciał Bogu się poleciwszy, stanąć do walki. Zwrócił się do Mieczysława dłoń mu podając.

– Bracie – rzekł – wystąpiam przeciw nim jutro. Każdy dzień zwłoki nas wycieńcza. Zamek nie starczy żywności dla tylu ludzi – w piersiach męztwa przebrać się może, gdy mu wystygają damy... Idźmy!

Słowo to wyrzekł głosem podniesionym, z tak silnym i głębokim wyrazem przekonania, tak nakazująco i stanowczo, z męstwem tak wielkiem a ufnością w siebie, że wszyscy niem porwani, odezwali się jednogłośnie z zapalem.

– Idźmy!!

Było to stanowcze słowo, nie wahał się już nikt, nie rozprawiał, nie przeczył. Pierwszy ruszył się z miejsca Sulisław do swoich iść i wydać na jutro rozkazy.

Książę Henryk klasnął w dłonie i przywołał Rościszława, komornika swego, który go prawie nigdy nie odstępował. On i Jan Iwanicz, drugi przyboczny księcia sługa, oba w sile wieku, mężowie dorodni, straż przyboczna – natychmiast się w progu ukazali.

– Na jutro się gotować – wszystkim! Wydajcie rozkazy! – rzekł książę. – O świcie u Panny Maryi nabożeństwo i spowiedź – potem – ciągniemy!

Przeżegnał się i ręką w powietrzu zakreślił, jakby mieczem zamachnął.

– Dać hasło na jutro! Noc została do spoczynku i przygotowania.

Posłuszny wyszedł natychmiast książę Mieczysław do swoich ludzi w podwórce, spiesząc z podobnymi rozkazami.

Szepiołka zawahawszy się w ślad za nim pociągnął.

Rościszław spełniwszy zlecenie księcia, powrócił spieszenie ku niemu, gdyż książę Henryk znowu wydawał rozkazy.

– Patrz, Rostek – odezwał się do niego z przymuszoną wesołością – co jutro przyniesie jeden Bóg wie, w którego rękach losy nasze, dziś powinniśmy być dobrej myśli. Nie potrzeba jadła i napoju oszczędzać. Daj rozkaz piwnicznym i tym co warzą, aby nam wieczerzę ostatnią zgotowali jak należy dla tych, co jutro... już może jeść nie będą. Nie żałować nic, ani dla rycerstwa co tu ze mną siedzie, ani dla tych co indziej wieczerzać będą.

Rękę położył na ramieniu Rościszławowi.

– Każ, by mi było po książęcemu, po królewsku, bośmy tego wszyscy godni. Ostatnie sobie sprawy gody, niech nam nic nie żałują! A stołów przymnóżcie, abym sam nie był i w dobrem otoczeniu zjadł pożegnalną wieczerzę...

Rościszław skłonił się, uśmiechnął do pana rękę jego ucałował i wybiegł spieszenie.

Zamek i okolica wieczora tego wyglądały, jakby walka za chwilę rozpocząć się miała. – W ruchu niezmiernym było wszystko, ludzie wśród wrzawy i ścisłu ledwie się porozumieć mogli. Jeden ostrzył pospieszenie miecz na lada toczydle, drugi strzały liczył i próbował ich ostrza, inny obuch nasadzał krzepko, – inni konie opatrywali.

Czynność wszędzie widać było pospieszną, gorączkową.

– Jutro! jutro! – powtarzano spotykając się...

Kościół stał ciągle otworem. W tym wieku wielkiej swawoli i pobożności nie mniejszej – cisnęli się wszyscy do ołtarzów, bo każdy miał kamień na sumieniu. Szukano księży, aby od nich błogosławieństwo uzyskać, duszę oczyścić, wreszcie dostać coś może, relikwię jaką, pobłogosławiony krzyżyk, medalik, talizman któryby od śmierci ochronił, albo od cięższego nad nią kalectwa i niewoli.

Po domkach rozsypani żołnierze od bab brali różne węzły i ziela, które również obraniać miały.

Wierzono również w cuda jak w gusta i czary. Byli nareście i tacy, co niewiele dbając o życie, używali tym czasem dostatku napoju i mięsiwa, którego im dodawano obficie – tyle jak skazanym w przededniu stracenia.

W orszaku pana Sulisława Jaksy złożonym z przedniego krakowskiego rycerstwa i ziemian innych okręgów, nie mniejszy ruch panował. Oddział ten cały miał swe osobne obozowisko, ku któremu ciągle z innych taborów goście napływali. Tu też najhuczniej było, najochotniej, najweselej.

Pawlik ze swemi, klechą Zulą, Wojuszem i czeladzią wojenną, wprosił się był do mieszczanina, który mu izby świetlnej dość przestronnej ustąpił, ale ta nie starczyła nawiedzającym, bo syn Jazdona częstował z taką szaloną, rozpasaną szczodrobliwością, tak wesoło, iż się tu wszyscy cisnęli.

Wabił ku sobie ludzi, dodawał serca, ochotę wielką budził, tak że wszyscy Ignęli do niego.

Pierwszy raz w życiu panem będąc, mogąc trochę po swej woli wygadać się, wyśmiać, z ludźmi swobodnie drażnić – zażywał tego chłopak tak, że Wojusz ciągle go musiał hamować. On go ani już chciał słuchać.

Popierali młokosa nowi przyjaciele, nie było rady.

Do pustego śmiechu wszystko mu powód dawało, ludzie, miejsce, słowa i ruchy. Niemiłosiernie szydził z tych zwłaszcza, którzy o jutrze mówili z obawą lub powątpiewaniem. On najpewniejszym był, że Tatarów pobiją i pola zaściela trupami. Ta buta gniewała Wojusza, a gniew jego ją pomnażał. – Zula z agendą chodząc modlił się, zżymał na swawolnika, a że mu przeszkadzano do modlitwy, często się aż na podwórze wysuwał. Tu mu też nie lepiej było, wrzawa młokosa i niepokój o niego ciągnęły go na powrót. Po chwili zjawiał się we drzwiach i niemogąc w ścisku wytrzymać, uciekał znowu.

Wojusz siedział na ławie o stół się podparłszy a głowę położywszy na rękę. Co raz to na młokosa zerknął, i ramiona mu się trzęsły.

A Pawlik dokazywał.

Zmierzchało już. Sulisław, który na wieczerzę do księcia Henryka miał prawo z sobą wziąć kilku przedniejszych, przez pamięć na ojca, przysłał po Jazdonowego syna, aby mu towarzyszył. Wojusz go samego puścić nie chciał, lecz młokos szybko na się wdziawszy suknię co najlepszą, miecz co najpiękniejszy przypasawszy, wyrwał się nie pytając. Byłby mu uszedł, gdyby stary silną dłonią nie ujął go za poły i nie przymusił iść z sobą.

Choć Wojusz tam miejsca mieć nie mógł, gotów był bodaj z tyłu stanąć za chłopcem, aby go w danym razie od szaleństwa jakiego powstrzymać.

Wielka izba na dole w zamku wypełniała się jakby na uroczystość jaką zbierającymi się gośćmi. Na twarzach ich widać było pogodę, jaką daje mężkim duszom nieunikniona konieczność. Chmurzą się i marszczą czoła, póki na dwoje głosować, na obie strony chylić się można, dopóki trwa losu niepewność; – gdy raz wyrzeczono słowo, naówczas umysł mężki z niem się godzi, śmiało patrząc w oczy temu co nieuchronne.

Tak teraz było z ludźmi wahającymi się przed godzinami niewiele. Książę Henryk pogodny był i spokojny, – on co posiłków króla Wacława czekać nie chciał, i drudzy z niego jak z wodza czerpali nadzieję zwycięstwa, odwagę do walki nierównej.

Sześciółka patrzył nań jak w tęczę, potakiwał mu jakby sam siebie chciał przekonać. Mieczysław poprawiał długich włosów, usta zacinał, głową potwierdzał co mówiono. Sulisław pomny mężnej śmierci swego brata, poległego w walce z Tatarami, nie chciał onieśmielać innych. I jemu dodawała otuchy mężna rezygnacja księcia Henryka.

Inni zapomnieli może o jutrze dla tego wieczora, który się wesoło zwiastował.

Izba trochę nizka, ale przestronna, oświetlona pochodniami, które czeladź u ścian stojąca trzymała, przedstawiała obraz ruchomych światła i cieni, pełen wyrazistych sprzeczności. Jedne postacie oblewał mrok gęsty, gdy drugie świeciły w pełnym blasku, iskrząc się swemi kruszcowymi ozdoby, płonąc barwami jaskrawymi, połyskując złotemi bramowaniami.

Gdzieniedzie wychylała się z mrocznych cieniów głowa napiętnowana rycerskim wyrazem męztwa, zbladła twarz zawiądnętego starca, jakby z szarego kuta kamienia, lub kwitnące lice młodzieniaszka, jeszcze coś w sobie niewieściego mające.

Światło pochodni drgające poruszało i suwało cienie, które po ścianach i ludziach przechodziły, osłaniały ich, spadały, nikły i powracały. Czasem świeżo otarta, gorętszem światłem zapłonęła

pochodnia i jedną część obrazu pomarańczową barwą oblała, – inne przygasając i dymiąc, miękkimi oblekały półcieniami postacie.

Mienili się w tych światłach zmiennych ludzie i twarze do niepoznania; nikli jedni i występowali drudzy.

Duchownych kilku zbliżka otaczało księcia. Jeden z nich, gdy Henryk miejsce miał zajmować, stanąwszy począł modlitwę i stołu błogosławieństwo. Nigdy jej może rycerstwo nie słuchało tak cicho, nie powtarzało tak pobożnie. Każdemu przychodziła myśl, wróci on się jeszcze do spokojnego stołu, do rodziny, – pod strzechę! Ten pokój domowy zdawał się teraz stokroć droższym, nieopłaconym skarbem. Śmierć niczem była, ale zwycięstwo takiego wroga, ale niewola w pętach tej dziczy, o której srogości i barbarzyństwie opowiadano tyle – ścinały krew w żyłach.

Stół był, jak książę przykazał, zastawiony obficie, pańsko... Całe pieczenie olbrzymie domowych i dzikich zwierząt, stały na deskach wyziewami mięsiwa izby napelniając. Ogromne misy cynowe i srebrne, mieściły potrawy z mąki, sera, kasze z przyprawami różnemi. Dzbany i kubki nie dawały dojrzeć gości, tak gęsto między niemi stały, a do góry się podnosiły.

Książę, który pragnął umysły rozweselić i wlać w serca otuchę, kazał i grajków zawołać, którzy u drzwi poczęli na gęślach i skrzypicach ochocze zawodzić pieśni. Nie była to zbyt głośna muzyka, biesiada głużyły ją, rozmowy – lecz i taka trochę wesela budziła. Nazajutrz zamiast niej, mieli wrzaski tatarskie posłyszec.

Brzmiała dziwnie, jakby wesołą jej być kazano, a smętną być musiała. I co zabrękała raźnie, rozkwiliła się tęskno i płacziwie.

Choć gospodarz pilno chciał uniknąć wszelkiej o Tatarach mowy i o tem co się w nieszczęśliwym kraju działo, – niepodobieństwem było spętać tak myśli i słowa, aby nie potrafiły czemś o tę stojącą za wrotami rzeczywistość, która już do nich pukała. Gdy nadeszła noc, wszyscy widzieli z wałów na ogromnej przestrzeni porozpalane ognie tatarskie, nad niemi unoszące się, kołyszące krwawe dymy, poszarpane w kłęby ogniste.

Wiedziano, a przynajmniej tak naówczas opowiadano sobie, że Mongołowie w szczególnej czci ogień mieli, że przezeń oczyszczali wszystko, postom do nich wyprawianym przez ogień przechodzić kazali, różne u ognisk odprawiając obrzędy i czary.

U stołu książęcego siedział podżyły już rycerz, wielce bywały, co się do jego dworu przybłąkał, a niegdyś w Syrii wojował i widział tam Saracenów, a był gościem u Templarjuszów, w ich Castrum Peregrinorum. Ten o wojnach z niewiernymi prawić umiał, ale to co o nich powiadał, nie godziło się wcale z obyczajami Tatarów, i z obliczem ich nawet.

Rycerz ów, Bertrand imieniem, zachował pamięć o niewiernych niemal dla nich przyjaźną – tak, że nań z podziwem, gdy rozpowiadał swe przygody, patrzano. Lubił sławić ich szlachetność w boju, bogactwo i piękność ich zbroi, obyczaje rycerskie. Za złe mu to miano, ale z zajęciem słuchano.

I tego dnia rozpoczął on dłuższą powieść o oblężeniu Damietty. Nie znalazł jednak tak ochoczych słuchaczy, jak dni innych, przerywano mu, a książę Henryk nie dając ucha obcemu, Sulisława, który nieopodal siedział, spytał co słyszał od swoich o sposobie wojowania Tatarów.

– Miłościwy panie – rzekł Jaksza – wiemy to od Rusinów i od naszych niedobitków, że u nich w liczbie cała siła. Pędzą też nawet przodem niewolników kupami, aby na nich pierwsze strzały nieprzyjacielskie padały. Jeżeli w natarciu gwałtownem nie zwyciężą, uchodzą, ale gonić za nimi zdradna rzecz, bo na zasadzki wiodą i do koła opasują.

– Stara to sztuka! – odparł książę Henryk.

– Ale się ona zawsze powodzi, – rzekł rycerz Bertrand. Widząc uchodzącego wroga, zapomina się o niebezpieczeństwie, puszcza się na oślep.

– Najrzadsza to rzecz w zaciętym boju, krew zimna, – ozwał się książę – a najpotrzebniejsza. Mieć męstwo i nie szaleć, to prawdziwa sztuka.

Mówili niektórzy o tatarskiej broni.

– Strzały puszczają gęsto – dodał Sulisław, – chmurą one lecą, ale rzadko która utkwi w zbroi.. Mają też obuszki i o jednym ostrzu miecze, krzywe i proste, a gorsze niż niemieckie. Zamiast tarczy, skórzane napierśniki z przodu. Na głowie też żelaza mało. Ale bawolich skór ich w kilkoro zbitych, ani luk, ni kusza nawet bełtem nie przebije.

– Mają słuszność – wtrącił Bertrand, – ci co ich do plagi Bożej tajemniczej porównują, szarańczą zwanej, na której skrzydłach napisano, iż zesłana jest za karę na ziemię. Tak oni też chmurą lecą, tak pola okrywają, tak wyglądają plugawo i jak one, co napadną gryzą aż do ścierwa.

Gwar coraz stawał się większy. Pawlik, który w końcu stołu siedział między Niemcami, rozmówić się z nimi nie mogąc, płatał im psoty minę strojąc na swój wiek do zbytku poważną.. Wojusz nieopodal stojąc go pilnował.

Skarcić nie było jeszcze za co. Jeden z Niemców zagadał doń swym językiem. Pawlik, który go nie rozumiał, rażno mu odpowiedział, ale bełkotem przez się stworzonym, a do żadnej mowy niepodobnym.

Niemiec zdziwił się mocno temu językowi obcemu sobie, zagadał powtórę i odpowiedź dostał jeszcze dziwniej brzmiącą.

W przekonaniu, iż to język przecie ludzki jakiś być musi, Niemcy między sobą sprzeczać się zaczęli o to, jaki by był. Czuli, że nie polski, bo z tego dźwiękami i wyrazami byli oswojeni.

Pawlik trwając przy swem, niekiedy im, twarz układając poważną, po kilka słów najosobliwiej wykręcanych dorzucał – tak, że wszyscy się ponachylali ku niemu.

Stanęło na tem między Niemcami, że mowa ta być musiała jakaś przyniesiona z południa, lecz do zrozumienia trudna. Tyle było Franków różnego rodzaju i Italów ze swemi dialektami, iż się to prawdopodobnem zdało.

W pół wieczery rozmowa ogólna ożywiła się bardzo, a goście na gromadki podzielili. Pawlik nie mając z kim mówić w bliskości, wyrwał się z ławy, na której siedział i poszedł krążyć do koła stołu, przysłuchując się rozprawom, szukając nowej zręczności do splątania psoty jakiej. Wojusz nie spuszczał go z oka i krok w krok chodził za nim.

Tak się naprzód zbliżyli ku Sulisławowi, potem do księcia. Henrykowi twarz zuchwała młodzieniaszka wpadła w oko, skinał nań, aby poszedł.

Śmiało przystąpił doń Pawlik. Z twarzy poznał księżę, iż Polakiem być musiał, i złą polszczyzną zapytał go kto by był..

– Jestem syn Comesy Jazdona z Przemankowa, – odparł chłopak rażno, – przybyłem tu z panem Sulisławem, pragnę się dorobić rycerskiego pasa.

Nie pokryta jeszcze puchem młodzieńczym świeża twarzyczka młodo bardzo wyglądającego chłopaka, uczucie jakiegoś politowania obudzić musiała w księciu. Żal mu się zrobiło tego dziecka, które tak zawczasie na śmierć szło z takim w obliczu weselem i rzekł przyglądając mu się z uśmiechem.

– I ty się więc z nami na wojnę wybrałeś?

– Wyprosiłem się u ojca, bo gdy drudzy idą, niegodziło mi się doma pozostać – zawołał Pawlik nie spuszczać oczów.

– A siły ty masz? – niedowierzająco odparł księżę.

Uśmiechnął się syn Jazdona. Mieczyk miał u pasa, który mu się właśnie pod rękę nawinał. Niewyjmując go z pochew podniósł nieco, ujął w obie dłonie, pocisnął i złamał.

To była jego odpowiedź na księżę pytanie. Potem z pańską butą, złamany nóż odczepił i choć bogato był okowany, rzucił go od siebie precz, stojącej z pochodniami czeladzi pod nogi.

Księżę Henryk rozśmiał się wesoło, pokazując go siedzącym obok siebie. Ci głowami potrzęsali wpatrując się w niego ciekawie.

– Kiedyś tak silny a ochotny do probowania się i zapasów, – rzekł księżę – stań że jutro z Rościszawem i Janem Janiczem przy mnie. Rad patrzeć będę na spotkanie się wasze w pierwszym polu.. Niech Bóg szczęści.

Skłonił się Pawlik radośnie zarumieniony – choć Wojusz zdala stojący syknął. Nie było już na to rady. Wiedział stary Sowa, że przy księciu stać, było to na największe narażać się niebezpieczeństwo, bo Henryk tam musiał być zawsze, kędy bój wrzał najsroższy.

Nic nie dorównywało radości Pawlika, który zdawał się w oczach urastać i nadymał się okrutnie. Buty mu przybyło jeszcze.

W tem opodał u drugiego stołu zanucił ktoś pieśń niemiecką i wszyscy zwróciwszy się doń przysłuchiwać zaczęli. Henryk tylko namarszczył się, bo to był śpiew miłosny a dość płochy i chwila na nucenie źle dobrana. Dano jednak dokończyć ów Minnelied, a książę po ostatniej strofie odezwał się głośno, iż jeżeli śpiewać chciano, przystało tylko pobożną lub rycerską, jaką pieśń zanucić.

Do tego jednak nie przyszło, a gwar coraz większy powstawał. Książę przepijał do sąsiadów, zachęcając ich.

– Dobrej myśli bądźmy – mówił – jako prawi rycerze.. Serca sobie zagrzewajmy, aby i w rękach silniej krew płynęła.

Zmagano się na wesołość – ale myśli odbiegały ku domom. W pośród żartów i śmiechu, ten i ów, szepnął nowinę o zniszczonych klasztorach, o miastach leżących w gruzach, o Sandomierzu i Krakowie, o liczbie jeńców pędzonych w niewolę.

– Nasz książę – wtrącił Sulisław – dzięki Bogu, ocalony. Niechcieliśmy tego, co nam najdroższe ważyć na niepewne losy, musiał do Niemiec uchodzić, bośmy dlań sił dostatnich nie mieli.

– Lepiejby był zrobił – zabełkotał niewyraźnie Szepiołka, spozierając ostro na Sulisława, – żeby był żonę do Węgier wyprawił, a sam przybył do nas. Pobożny pan – dodał – to prawda, a ona, dosyć rzec, że Jadwigi siostrzenica, ale do rycerskiej sprawy za mało pochopny.

Sulisław ujął się gorąco za pana swego.

– On radby był iść, wrywał się nam – rzekł, ale myśmy go nie puścili. Żył jeszcze brat mój podówczas, gdyśmy go na Węgry zmusili. Zamkowi krakowskiemu niebyło co dowierzać, a w polu stanąć samym nie mieliśmy z czem...

Nikt już nie odpowiedział na to. Książę Henryk poruszył się z miejsca swego.

– Czas – odezwał się – bodaj północ blisko! Rozejdźmy się wypocząć trochę, by wstać rzeźwiejszemi o świecie.

Ręką skinął ku swym gościom.

– Dzisiejszej nocy mało kto snu zakosztuje, – odparł Szepiołka powstając.

Poczęli się ruszać inni, lecz powoli. Niemców dużo przy kubkach zostało. Pawlik też z wielkiej niecierpliwości wcale się kłaść nie chciał do snu. Z sali wyszedłszy pospieszył do Rościsława i Jana Janicza, oznajmując im o rozkazaniu książęciem, a prosząc aby go do orszaku przyjęli. Biegł potem do chaty, a za nim Wojusz niespokojny.

Tu, choć dobrze na noc już było, po drodze uzbierawszy towarzyszków, Pawlik niesłuchając starego, naganiającego do spoczynku, swawolę na nowo rozpoczął. Niebyło sposobu dzbany mu poodbierać, ani gości rozpędzić. Rozległy się piosenki wcale nie pobożne, których słuchając nieszczęśliwy klecha, zmuszony już w izbie na posłaniu zostać – uszy sobie zatykał.

Tak noc przeszła prawie cała.

W miarę jak się ku ranu zbliżało poważniały lica, ruch w całym obozie zaczął się dawać czuć coraz żywszy. Niektóre oddziały już za wały wyciągały.

Tym czasem co przedniejsze rycerstwo do kościoła Panny Maryi spieszyło, do którego się już docisnąć było trudno. Światła płonęły w wielkim ołtarzu, a ksiądz jeden nieustannie klęczących obchodził z komunią świętą. Drudzy duchowni tu i owdzie poprzysiadawszy na stopniach, w ławach, stojąc nawet spowiadali przychodzących żołnierzy, prawie wyznań ich nie słuchając, rozgrzeszając co żywiej, bo drudzy tuż z płaczem i błaganiem naciskali się i wprasali.

Tłum wlewał się i wylewał nieustannie z kościoła, msze jedna wychodziły po drugich, zaczynało świtać. – Kwietniowe noce krótkie już były.

Rycerstwo ks. Henryka szykowało się do boju, wedle jego rozkazów, on trwał na modlitwie jeszcze.

Języka miano pewnego, że Tatarowie na pięć kup byli podzieleni, więc i książę Henryk na tyleż chciał swoich ludzi rozłożyć.

Szykowali się żołnierze zwolna, bo wielu z nich jeszcze przy kościele na wiatyk oczekiwało, a tego nikomu odmawiać się nie godziło.

Z wieży kościoła panny Maryi, postawiona na niej straż, dawała znać co widziała. Tatarzy już się z legowiska ruszali. Można było ztąd nawet rozeznaczyć ich niby pięcioro kup oddzielnych, a po nad nimi powiewające płachty jakieś, niby chorągwie.

Zdała wiatr czasem przynosił jakby głuche wrzaski... Dzień się zdawał na pogodę wybierać, lecz rannych chmur jeszcze nie mogło rozpedzić słońce. Starszyzna się na koniach tu i owdzie zwijając napędzała i stawiała do szyków...

Ks. Henryka na placu nie było jeszcze, tylko u wrót kościelnych czekał nań przyboczny oddział jego z Rościśławem i Janiczem, a Pawlik z niemi.. Niemców stało już siła na koniach pookuwanych w żelazo, poodziwianych w koszule druciane, w hełmach ciężkich, na których rogi, trąby, skrzydła i ptaki różne sterczały.

Każdy z tych mężów zbrojnych tak pięknie, zdawał się niezwyciężonym. Cóż mogły przeciw nim strząły? co mogły choćby i tatarskie miecze? konie nawet zbrojami od nich obwarowane były.

Na polu coraz się ludu roiło więcej, a ks. Henryka nie było jeszcze.

Modlił się długo u stopni ołtarza, nie trwożąc ale czerpiąc coraz mężniejszego ducha. Duch matki zdał się wstępować w niego i wlewać mu męstwo wielkie.

Od ołtarza ksiądz staruszek siwy, skończywszy obdzielanie hostją, błogosławił do góry podniesionym kielichem – chyliły się głowy, robiła cisza, książę Henryk w piersi uderzył, wstał...

Za nim wszyscy ruszyli się z kościoła – godzina była już późna, słońce wstawało.

Cisnęli się za nim ci co jeszcze modlili, gdy w samym już progu stojący książę usłyszał trzask jakiś nad głową swą i kamień z górnego muru nagle spadając legł u nóg jego, tak że kęs szyszaka, który książę wkładał, potracił¹. Książę Henryk cofnął się na krok, zbladł trochę.

Pawlik, który tu też stał i patrzył na to, pół głosem odezwał się wesoło.

– Dobra wróżba! kamień padł a nie obraził pana naszego. Czartowska moc go cisnęła, a o Bożą opiekę się rozbiła! I ta, co nas tam czeka w polu, bezsilną będzie...

Książę usłyszawszy to smutnie się uśmiechnął i wdzięcznie spojrzął na śmiałka. Kamień zgruchotany upadkiem, wielki jak spory bochen chleba czarnego leżał u nóg jego – potracił go ze wzgardą, zszedł z proga i konia kazał podawać.

Kto żyw, pośpieszył za nim.

Na tak zwanem Dobrem Polu nad Nissą szykowały się zastępy.

Pierwszy, który się już był naprzód wydał i był gotowym, gdy książę go oglądać przyjechał, składała różna drużyna, zbierany lud, rycerstwo ze stron wielu nadbiegłe, niemców na przodzie dosyć, którzy tu rej wodzili, Bertrand stary co był pod Damiettą i tak o jej oblężeniu rozprawiać lubił, stał tu także.

Nierówno zbrojny tu był żołnierz i nie jednaki, a że niewiele się go zebrało, przybyli też górnicy ze Złotogóry, lud silny, krzepki, zahartowany, ale zbrojny więcej we młoty i obuchy niż w oręż, łuki mający ładajakie. Niektórzy z nich tylko nieśli tarcze proste, skórą jako tako obleczone.

Co niestało prawego żołnierza, dopełniano górnkami, wiele okazującemi serca. Na wodza się tu wybrał Szepiółka, którego, że trudno było czasem zrozumieć, Morawianin Stempek półkowódzca jego, rozkazy zań wydawał.

Górnicy, z których sobie lepiej uzbrojone rycerstwo niemieckie żarty stroić chciało, wzięli to tak do serca, iż wołać i domagać się zaczęli, aby pierwsi do walki wystąpili.

¹ Historyczne. [przypis autorski]

Książę Bolesław wcale sobie tego nie życzył pono, lecz górnicy nalegali coraz mocniej i gdy książę Henryk się zbliżył, krzycheć poczęli z szeregów.

– Pójdziemy przodem!

Obuszki podnosząc w górę – powtarzali zgodnie.

– My przodem! my pierwsi!

Niemcy też im w męztwie ustąpić nie chcieli, i spierać się nie śmieli.

Książę Henryk zgodził się na ich żądanie.

– Bóg jeden wie w czym siła – rzekł – prawda, że pierwsze starcie często o losie bitwy stanowi, lecz gdy ochotę mają wielką i serce...

Szepiółka zgodzić się na to musiał...

Tak za przekąsy krwawo się pomściwszy, górnicy wyciągnęli przodem na Dobre pole, rażno zanuciwszy pieśń do N. Panny.

Rozległa się nią wnet okolica, bo inne wszystkie oddziały za nimi śpiewać zaczęły.

Z wieży Panny Maryi coraz lepiej sunących już ku polu Tatarów widać było. Z góry patrzący mierzyli oczyma jaką przestrzeń swoje i ich oddziały zajmowały.

Niestety! każda z tych kup pięciu Tatarskich, dziesięćkroć liczbą przechodziła gromadki wojska, skupiającego się na równinie nad Nissą.

Drugi szyk, którym Sulisław dowodził, cały był z Krakowian i Wielkopolan złożony, dobrze zbrojny, w jasnych pancerzach, chorągiew nad nim czerwona, co się już nieraz we krwi skąpała. Tu było miejsce Pawlika, lecz chłopię rade że się wyrwało, jechało przy księciu. Wojusz tuż za nim w ślad. Krakowian i poznańczyków nie było więcej niż pierwszych, a choć się rozstawili szerzej, nie celowali liczbą, pokaźnością i postawą znaczyli.

Sulisław obyczajem rycerskim wybrał się do boju jak na gody, bo naówczas brał każdy co miał najlepszego, gdy się miał z nieprzyjacielem potykać i dzień starcia uroczystością był wielką. Więc i on wdział pancerz lśniący, a na hełmie rozpierał się mu Gryf złoty, godło wszystkich jego rodu. – Na tarczy też Gryfa miał z paszczą otwartą i językiem wywalonym, malowanego i złoczonego...

Opolanie składali nie dostatniejszy też liczbą oddział trzeci. Lud rzeźki, postawny, zbrojny dobrze, bo tu niemiecki oręż wprowadzony był dawno i obyczaj też niemiecki panował. Mieczysław Opolski prowadził swoich, a przy nim sporo różnych przybłędów, szwabów, sasów, franków, turyngów, bo się w nich kochał, jak wszyscy Ślązcy Piastowicze, co z Niemiec matki mieli.

Gdy książę Henryk nadjechał i zbliżył się, pozdrowili się i objęli po bratersku, ale słowa rzec nie mógł żaden. Godzina to była, w której usta niemiały, godzina wielka, w której mówiły oczy.

Słońce powoli, ciężko z po za chmur się dobywało. Wiatr od Tatarów smród przynosił końskiego potu i spalenizny.

W czwartym oddziale stało kilku braci i trocha knechtów, których niechętnie przysłali Krzyżacy, ale na tych wiele rachować nie było można, tyle tylko, że z sobą na obłudę chorągiew zakonu przynieśli, jak gdyby ich tam więcej było... W rzeczy garść przyszła licha, a resztę niewielkiej kupki, różny lud niezbyt rycersko wyglądający zapełniał. Tych książę Henryk pominął, ledwie pozdrowiwszy. – Nie wiele z nich spodziewał się korzyści.

W ostatnim oddziale widać było przedni wybór rycerstwa księcia samego, na którym waga była największa. Tu się kwiat i śmietanka zebrała. Więc naprzód Niemcy zaciągowi i dworscy, Franki, Szwabowie, Sasi od Brandeburczyków, wszystko ludzie, co już nie w jednej ziemi i nie z jednym wojowali napastnikiem. Dużo też było od Wrocławia i z całego Ślązka osiadłych ziemian, co na wszystkie wojny chadzali, a wówczas na nich nie zbywało. Dobry lud, wojacy ogromni, zbroje doskonałe, szyk zręczny. Każdy z nich gotów na dziesięciu, z kopją, mieczem, z obuszkiem, z łukiem, niektórzy z cepami żelaznymi. Wielu też kusze miało silne, których bełty człecka na wylot przebijały. Ci jak mur twardzi byli, ale jak kamień też ciężcy w ruchu.

Już się tak wszystko ustawiło, chorągwie podniesiono mężnie, i pieśń brzmiała znowu pobożna.

Każdy miejsce swe zajął i trzymał je... Tatarska moc owa z przeciwka już się okazywała.

Szary tłum, niepokaźny był a ruchliwy. Plugastwa tego oddziały sunęły tak wielkie, że każdy z nich połączyłby był wszystkie razem Henrykowe, gdyby się one nie rozstawiły szeroko...

Ziemia poczęła tętnić i drgać pod stopami koni i ludzi. Szmer zrazu dolatywał dziwny, jakby wody płynęły wiosenne, potem gęste stad końskich stapanie.

I zdało się patrzącym, jakby tam same niemal konie były, a ludzi mało gdzie wytykała się głowa; mało gdzie sterczał łuk górą lub włócznia.

Z szumu tego coraz wyraźniej wrywały się hałasy, pisk jakiś, wycie, nawoływanie...

– Surun! Surun!

Z tysiąca piersi brzmiało coraz dobitniej:

– Surun!

W szykach księcia Henryka spokojnie kończono pieśń pobożną.

Stały murem, konie tylko niektóre niby spłoszone, wylękle pod jeźdźcami drżały, przysiadły, i ledwie je w miejscu utrzymać było można.

Chrapanie ich głuszyło śpiew ludzi. Pieśń w końcu wyciem Tatarów przemożona, ucichła. Usta przestały dźwięk wydawać, dech zaparto, oczy wszystkich zwrócone były na ten tłum, który rósł w nich, posuwał się, olbrzymiał – rozpościerał coraz szerzej.

Dostrzedz już było można przodem jadących luźno ludzi i u każdego z jeźdźców konia na sznurze bez człeka, tak, że gromada niemi zwiększona, straszniejszą się jeszcze wydawała.

Trochę otuchy dodało to Ślązakom; nieprzyjaciela więcej się widziało niż było.

Liczba jednak i tak straszną była... z wieży jak zajrzeć końca temu wylewowi nie widziano.. Sunęli się, sunęli, rośli, nieprzeliczeni...

Zdawali się wyrastać z pod ziemi, mnożyć jakimś czarem.

W prawo i w lewo zabiegali kołem zataczając się szeroko, obejmowali jako gad, który ofiarę swą obwija pierścieniami, nim zdusi ją i pożre. Rzeka tylko od nich zdawała się osłaniać z jednej strony, lecz dla tych stworzeń dzikich woda nie była przeszkodą żadną. Rzucili się w nią gęstą kupą, gromadą, tak, że rzekę zdawali tamować, która się pokryła całą mnóstwem łbów końskich i ludzkich.

Księżę Henryk z za wzgórza stał za swemi – patrzył.

Po za sobą tylko już miał plac wolny, przed nim Tatarzy zajmowali go ze stron wszystkich.

W tem od dziczy, razem z krzykiem – Surun! zaszeleściło, niebo się zaćmiło chmurą gęstą strzał tatarskich, które nagle bić poczęły i dźwięczyć na żelaznych zbrojach...

VI

W oknie na wieży kościoła Panny Maryi stał siwy jak gołąb ksiądz z rękami załamanymi, w których krzyż trzymał ściśnięty. Nie czuł tego, iż ręce znak zbawienia skruszyły w konwulsyjnym uścisku. Usta jego usiłowały szeptać modlitwę, lecz co chwila kostniały od trwogi.

Widok był straszny, potop ludzi jakichś ledwie do stworzenia Bożego podobnych, wściekły, rozhukany, szalony – upojony... jak fala morska poruszał się i płynął rozbijając co spotkał przed sobą. Nigdy wiatr jesienny co jęczy po górach i skał czeluściach nocami nie wyje takim głosem zniszczenia i śmierci bezlitośnym.

Staruszek zatykał uszy, krzyż schowawszy za pierś i słyszał wrzask zawsze... zamykał oczy i widział tę czerń jak dokoła opasywała, ścisła rycerzy bożych. Zaćmiła mu niebiosą chmura pocisków, zakryła tych, co stali przeciw nim. – Opadła wnet, ksiądz odetchnął – rycerze stali jak mur nietknięci. W tem drugi taki obłok świszczący zakrył mu ich znowu.

Na czele posuwali się ze zbieraną drużyną śmieli górnicy. Rzucili się na dzicz z siłą wielką i jak klin wbili w tę potworę. Widać było Tatarów, którzy gnali przeciw jak się od pierwszego uderzenia zgięli, ulegli, zachwiali. Zwracać się zaczęły małe ich konie i padać... Niektóre pozrywały się z sznurów lecąc samopas na swoich i mnożąc zamieszanie. Ksiądz staruszek dziękczynne dłonie podniósł do góry.

Dzicz płynąca potęgą wielką, z równą gwałtownością, odparta cofać się i dusić zaczęła. Górą płynęła chorągiew górników Złotej-Góry, pędzili nie dając się powstrzymać. – Naprzód! Naprzód!

Ksiądz począł modlitwę na chwałę Bogu zwycięstw, gdy oczy otworzywszy znowu, chcąc dojrzeć swoich, zobaczył już tylko wrzątek jakiś kipiący, tłum, w którym nikogo nie mógł rozemnać.

W pośrodku ciżby niewiadać już było tych co w nią jak w otchłań wpadli. Chwilami coś się poruszało w tym motłochu samym, coś błysło niby ci zwycięzcy. Pożarła ich w końcu ta nawała. Nie zostało nic, tylko znowu tłum ten sam szary, warczący, pełznący i wyjący dziko:

– Surun!

Księżę Henryk stał, patrzył i modlił się... żelazny, nieporuszony... Widać go było z orszakiem.

Pułki co na przedzie stały za górnikiem którzy znikli, znowu ten grad strzał zasypał.

Niebyło wątpliwości, że Bolesław i cały oddział jego, co tak mężnie padł na nieprzyjaciela, już przezeń został pożarty. Z wieży widać było wśród czarnego mrówia jakby plamę krwawą, w której się promienie słońca gdzieniegdzie świeciły odbite – i trupem usłaną polankę. Dzicz okrążała ją, naciskała się i rozpierzchła znowu.

Sulisław z Krakowianami i Opolanie ruszyli się naprzód śmiało. Nie stracili oni mężstwa straciwszy przodowników. Zamęt wielki widać było na polu i okrzyki doleciały na wieżę. Dwa polskie oddziały stały przeciwko trzem tatarskim i walczyły zajadłe – nie mogły naprzód się posuwać, ale nie ustępowały ni kroku.

Jak dwaj zapastnicy, co się za barki pochwyca, tak sparły się dwa owe pułki i dzicz w gęste zbite ciało. Padali z koni i z końmi Tatarzy, lecz na ich miejsce cisnęli się nowi, nie przebierało się ich, zdawali mnożyć z trupów poległych. Sulisław dotrzymywał im kroku, Opolanie mu posiłkowali, dwa oddziały w jeden się zlały. Jak opoka stali w miejscu, aż z oddziału ks. Henryka ozwały się okrzyki radośne. Chcieli na obronę swoich lecieć pozostali w odwodzie, książę wstrzymywał.

Nie czas było!

Ostatnią siłą nie mógł szafować. – Z wieży widać było jak dzicz się znowu zachwiała, jak zawirowała w miejscu, sparła się hardo, zlała w jedną bryłę ani chcąc ustępować – ani mogąc zwyciężyć. W tem drgnęło coś w tych kupach, zachwiały się. Krzyknęli Polacy, Tatarzy złamani zostali. Sulisław powoli postępował za nimi, Opolanie równym z nim szli krokiem.

Pułki z tyłu stojące poruszyły się. Książę Henryk dał znak. Jechali z razu wolno – lecz kipiło w nich, a jakąż siłą wstrzymać można żołnierza. Wódz i ciury stracili głowę – nieprzyjaciela uchodził, wymykała się z rąk zemsta... Naprzód! naprzód!

Ksiądz zakrył oczy. Znikły mu pułki wszystkie wśród ruchomej powodzi ludzi. Kto zwycięzca? kto pobity? zgadnąć nie można. Pasami gdzieniegdzie świecą żelazne zbroje, szaremi płachty ruszają się tatarskie zgraje.

Wężem zwijają się pułki wśród otaczającej je dziczy, która ucieka i okrąża, uchodzi i zasypuje strzałami.

Z wieży nie widać nic. Ksiądz pokląkł, czoło położył na krawędzi zimnego kamienia i patrzeć już nie śmie.

Jak zasłona, którą wiatr miota, cała ta gąszcz to się sunie naprzód, to ugina, to przechyla, jak strzępki przy rąbku zasłony, po brzegach widać rozpierzchłe mrowie. Wrzawa ludzkich głosów, końskiego rżenia, jęków konających, okrzyków zwycięzkich – wszystko się zmieszało w jedno wycie i huk potężny, niby szum wałów morskich, co biją o brzegi.

Książę Henryk pędził z oczyma pałającymi Tatarzy mu uchodzili, pierzchali, lecz stało się że w tej ucieczce razem zjawili mu się ze stron wszystkich; strzały ich sypały się ciągle. Wśród własnych ludzi wytykały się ich głowy, które gnietli i ścierali, a pełzły i wyrastały nieprzebrane.

Książę Henryk znalazł się już obok Opolan. Sulisław gdzieś był na przedzie, Polacy kupkami, rozbici lecieli walcząc i mordując.

Nikt już nie wiedział gdzie jest i w którą sunie stronę – ciemność i zamęt był wszędzie. Opolski prac konia naprzód coraz nowe i coraz twardsze spotykał zapory. Uchodzący drogę mu zapierali sobą.

Wśród wrzasku usłyszał nagle głos z góry:

– Biegnijcie! biegnijcie!

Kto wymówił te słowa? Zdały się z tatarskiego wychodzić tłumy, echem jakimś słychać je było powtarzane ze stron wszystkich:

– Biegnijcie! Zbiegajcie!

Książę Mieczysław zbladł, obejrzał się w koło. Lignickie mury widać za nim było jeszcze.

Sam koń czy on się zawrócił?

Ci, co go otaczali chwieją się, kręcą – uchodzić zaczynają, popłoch się mnoży – pojedynczy zbiegają, pochyliwszy się na kark koniom.

Henryk odrętwiał – nie umiał słowa znaleźć na okrzyk bóleści i począł wołać.

– Gore! gore!

Spostrzegł Opolan, którzy zwrócili się do ucieczki, pędzi aby zabiedz im drogę; Tatarzy mu ją zastępują...

Opolanie uchodzą!

Dzicz naciska za niemi. Jak fala odepchnięta od brzegu, idą, wracają nazad, są wszędzie...

Wśród tej czerni zbitej, pułk Sulisława z chorągwią swą czerwoną jeszcze kupą się przerysna, brodzi w niej, trzyma się spójny. Padają przed nim wałami łupy, ale na nich żywy ów zwierz pustyni podnosi się, mrówi, naciska.

Dziw nad dziwy! Po nad głowami czarnego tłumy coś nagle zaszeleściło, wiatr powoli rozwiewa chorągiew jakąś ubarwioną krwawo.

Lśni się ona jak posoka gdy zastyga, purpurą, żółcią i zielenią, które się na przemiany mieniają; a pod nią tkwi głowa ludzka olbrzymia, rozczochrana, straszna, z otwartymi ustami, z językiem wywisłym, z oczyma trupio zeszkłonymi, blada i niby żywa. Z nozdrzów jej bucha kłębamii para smrodliwa, jakby wyziew zgniłych trupów; oczy jej łzawią i dymią, włos zdaje się szeroko rozpluwając obracać w dymy, które się nad pobojowiskiem wloką – kto spojrzy na tę głowę poczwarną, mdleje na siłach; komu do piersi dym od niej zaleci, ten słabnie i pada. Trwoga bezimienna, bezprzyczynna ogarnia serca, biją niespokojne, zmuszają do szalonej ucieczki.

Chorągiew szatańska zda się rosnać w powietrzu, głowa olbrzymieć, rzekłbyś płaszczem krwi okryła pobojowisko. Dym czy ona ciąży nad wojskiem i gniecie je. Pod fałdami tego złowrogiego proporca zastęp pana Sulisława się chwieje ale walczy... Jeszcze gna i naciera, lecz słabiej coraz. Piersi rycerzy nie mają czem tchnąć, oczy ich nic nie widzą, w uszach tętni tatarski – Surun! i śmiech jakiś jak świst szatana szyderski. – Szyk polski, który się rozpościerał szeroko i odbijał od siebie napływające fale zmniejsza się, zwęża, skupia, maleje, rozbija, niknie. Jeszcze chorągiew jego czerwona podnosi się w powietrzu, ale po nad nią tkwi jakby ją pożreć miała owa głowa olbrzymia dymiąca trującym smrodem, z której śmiech się trupi rozlega... I nic nie widać tylko pluskające czarne fale Tatarów.

Książę Henryk ze swemi mężnie się trzyma, został im na pastwę ostatnią. Dano mu było dla zwiększenia męczarni patrzeć jak ginęli drudzy, jak nadzieja oparcia się nikła, jak śmierć męczeńska przystępowała wolnym krokiem...

Musiał cierpieć za nich i za siebie, ale nie zwilżyło mu się oko. Spojrzył na swą wierną gromadkę, podniósł do góry miecz i z nią padł na niewiernych tłumy.

– Miłościwy książę – zawołał Rościsław – życie wasze więcej warte niż wszystkiego żołnierza, bo wy ludom wodzem jesteście! Ocalić was musimy, przebić się trzeba przez nich – do lasu... tam bezpieczni będziemy!

Książę nie słuchał, – rąbał i siekł zajadłe... Poznali w nim wodza Tatarzy i opasali go kołem, które się jak pierścień ścisła. Co zaskoczy śmielszy to ginie...

Rościsław, Janicz, Ślązaków i Niemców co najsilniejszych garść dostają kroku przy księciu, zastaniają go piersiami. Pawlik dzieciak zwija się jak szalony z nieopatrznością tego, co nigdy w boju nie bywał... Wojusz zabiega i zastania...

Naprzód! – krzyczy Rościsław. —

I naprzód prą się rycerze – ale napróżno. Konie się potykają i padają na trupach, na konających, co im rzezą wnętrzości, ludzie zsuwają się na ziemię i już z niej nie wstają. Rycerze jeżą się strzałami, które w nich utkwily.

Na Klemensa z Pełcznicy bies jakiś zarzucił sznur, zdusił go za szyję i z konia obalił.

Rościsław nie przestaje naglić. —

– Naprzód!

Ale ścianą jedną stoją naprzeciw w jedno ciało zbici konie i jeźdźcy tatarscy.. Łyskają im oczy z pod czoła, bieleją zęby w ustach rozwartych, śmieją się policzki kościste.

Wśród tego zastępu, nawet trupy stoją jak żywi, zabite konie, jak kamienie w murze się trzymają. Ani go złamać ni obalić.

– Naprzód! – woła Rościsław i Janicz. – Tną po łbach końskich i ludzkich.. krew tryska... ale ściana stoi... wyłomu przebić nie można.

Pawlik, który stał z tyłu, przebija się z koniem przed księcia, ogromny miecz trzymając w ręku. Spuszcza go na obnażony łeb Tatarza. Raz uderzył i drugi, koń wyrwał się naprzód sam, uchodząc między szluzaków. Pawlik się rzuca w tą szczyrbę, Janicz za nim, Henryk z niemi.

– Naprzód!

Cisną się i sieką.

Cudem jakimś rozstało się tatarstwo a raczej przypadło na ziemię – konie spłoszone wyrwały się, próżnią wśród tłumu ciśnie się Szluzakie księżę, a mieczem rąbie co dosięże.

Wśród dymu las, zbawczy las zamajaczał już przed niemi. Suche jego gałęzie zarysowują się w dali.

– Naprzód! – nie przestaje wołać ochryply Rościsław.

Pawlikowi krew leje się z rąk i z piersi. Wojusz ma twarz przeszytą, hełm mu strącono. Strzała utkwila w policzku, którą na próżno wyrwać się sili.

Od zbroi księcia Henryka odbijają się pociski, ale koń pod nim broczący pada, wycieńczony ranami...

Zastęp otaczający księcia maleje, Wojusz stary zachwiał się, zsunął na ziemię, zniknął. Pawlik utonął w gąszczu.

W tem Sulisław znalazł się u boku wodza, z nim Klemens Wojewoda głogowski, Konrad, Janicz, Rościsław.

Garstka ich już tylko – lecz dotąd jeszcze zwycięzka. Las widać. Tatarzy pierzchnęli w bok nieco, ostatkiem sił księżę bieży naprzód.

W tem zadudniało, tłum wraca, oblega ich z wrzaskiem, zaparł drogę od lasu! otoczył.

Bój o życie lub śmierć się poczyna.

Janicz z Pawlikiem, który już pogrzebiony pod trupami, zmartwychwstał znowu, konia chwycił i otłuczonym mieczem się broni – przodem idą torując księciu drogę. Tatarzy ustępują im – poznali po hełmie wodza, na niego czyhają...

Jednego już tylko widać mężnego księcia, jak coraz miecz podnosi do góry. Obnażył pachwinę, na której zbroi nie było, Tatarzyn pchnął z całych sił w nią i przebił. Hełm księżęcy zadrgał i padł z głową, włosy rozsypały się na ramiona, padł syn Jadwigi...

Wnet kupą dzicz się rzuciła na tą zdobycz z wrzaskiem, który jak grom poszedł po pobojowisku...

Na wysokiej żerdzi sterczy szlachetna głowa męczennika odcięta, drgająca jeszcze.. wargi jej zdają się kończyć modlitwę. —

Głowa to Henryka Pobożnego – zginął ostatni!

Janik z Pawlikiem gnali tymczasem, niewiedząc co się działo za niemi – przerznęli się cudem przez tłumy – gonią!

Dziewięciu Tatarów na małych koniach ich ściga. Janicza hełm ich kusi, a Pawlika młodość.

Lecz konie obu rycerzy prześcignęły tatarskie. Co się obejrzą za siebie, widzą pogoń tylko. Gdzież księżę??

Janicz i Pawlik myśleli że ocalał.. Pędzili więc naprzód, mając za sobą tylko tych dziewięciu pogoni. Z boku przyskoczył do nich oszalały z trwogi Luzman niemiec, na pół ze zbroi odarty.

Zostało ich trzech na pogan dziewięciu.

Oglądają się ciągle ich mając za sobą. Tatarzy pokładli się na koniach, wyją i gonią. Czasem poślą im strzałę, która świsnie w powietrzu, czasem puszcza powróż długi, który opada na ziemię.

Uchodzą, – uszli!

Obejrzeni się, z dziewięciu zostało sześciu – obejrzeni, tylko trzech widać jeszcze, – otóż i znikli wszyscy.

Lecz i koniom ich tchu już brakuje. Potrzeba stanąć. Właśnie wygorzałą wieś znaleźli na drodze.

Żywego w niej nie było ducha, a jeszcze niby żywa stała. Z chat opalonych widać było prosty statek wieśniaczy, który ocalał po kątach. Studnie z żurawiami, które wiatr poruszał, całe w podwórkach, gdziegdzie płot i wrota gwałtownie rozwarłe. Na drodze chusta krwawa legła jak zabita, trup dziecka rozcięty w progu nagi i poczerniały...

Pawlik, Janicz i Luzman strzymali konie.

Niemiec skoczył do studni po wodę, zajrzał w głąb i krzyknął, pełną trupów była. Tuż płynął strumień, poszli z niego zaczerpnąć, brzegiem widać było zastygłą krew.

Pawlik tym czasem z sukni sobie i z ciała powbijane strzały wyrывał. —

Janicz dyszał sparty o słup. Luzman jęczał, patrząc na poranione ciało. Z dala z wiatrem dochodziły ich krzyki zwycięzkie tatarów.

Ledwie odetchnęli trochę, gdy niemiec wskazał na drodze migających trzech Tatarów. Biegli za nimi, a raczej toczyli się po gościńcu, jakby trzy kule czarne.

Janicz drgnął, Pawlik na koń już siadał. Z tych trzech pogońców wnet urosło sześciu. Chwila, a oto dziewięciu znowu napędza drogą i krzyczą..

– Janicz, konie już nie pójda dalej! – zawołał Pawlik, – ale my bić się z tem plugawstwem możemy jeszcze. Trzech na jednego? nie dużo!

Dzkie chłopię, pomimo grozy od której tylko co uszło, rozśmiało się sercem więcej zuchwałem, niż rycerskiem.

– Bijmy się!

Janicz siadł też na konia, Luzman milcząc, poszedł za jego przykładem.

Stali ścisnawszy się, zwracając ku nadbiegającym tatarom, którzy jak wichur, konie okładając pletniami, parli na nich. Janicz i Pawlik mieli jeszcze ostatek włóczni w garści, Luzman obuch, który mu cudem u siodła pozostał.

Gdy pierwszy z pogoni przyskoczył do Pawlika, ten jednym cięciem w łeb, trupem go położył. Zwalił się z konia.. Nim drugi pośpieszył go pomścić, Luzman skrwawił go i okaleczył, a że konia wściekłego miał, gdy tatarzyn padł, stratował go gniotąc pod sobą.

Janicz się też mężnie potykał, a wśród boju powtarzał tylko ciągle.

– Jeśli żywot ocale – Bogu go na ofiarę złożę!

Pawlik żadnych ślubów nie czyniąc, rąbał i siekł.. Ośmiu tatarów leżało pobitych, dziewięty ranny bronił się rozpaczliwie, gdy Luzman padłszy nań, sznurem go oplątał i skrępował.

Tak bój się ten skończył. Na gościńcu nie było widać więcej pogoni.

Znużeni wojownicy siedli na ziemi trupom się przypatrując. Pawlik jak dziecko ciekawe poruszał ich końcem strzaskanej włóczni, aby się stworzeniom tym przyjrzeć lepiej. Podobnych ludzi niewidzieli jak żyli. W krzyku ostatnim usta im podrętwiały obnażając wilcze zęby białe, a oczy wywrócone do ślepi dzikiego zwierza były podobne...

Pawlik westchnął – na myśl mu przyszedł jego Wojusz stary.. Widział, jak goniąc za nim i osłaniając go upadł.

– Wieczny mu spoczynek! – szepnął – a nom ja teraz wolny!

Niedługo spoczywać tu mogli, szczęściem Janicz w okolicy znał dobrze drogi.

Zdało mu się obowiązkiem przedzierać do Krośna, aby być posłem nieszczęścia biednej matce, bo choć niewidzieli padającego księcia Henryka, nie mogli wątpić, że pozostał na Dobrem polu.

Żałośnie milczący puścili się powoli ku lasom.

Z wieży kościoła Panny Maryi nikt już nie patrzył na pobożowisko, na którym mężczyźni ludźmi śmierć przeczuwając, zginąć poszli. Kilku nędznych zbiegów do bram dotarło, brocząc po drodze. Przynieśli zamkniętym w murach żałobne słowo:

– Książę Henryk padł w boju... Bolko Morawski padł w boju... Zginął Opolski, zabity Sulisław mężczyźni i Klemens głogowski wojewoda i Konrad i wszyscy, którzy szli na to aby za wiarę ginęli.

Na zamku Lignickim niewielka garść załogi została, trochę księży i mieszczańskiego ludu.

Zamknęli bramy – czekali.

Nazajutrz o świcie, gdy do kościoła dzwon na mszę wołał, horda mu krzykiem odpowiedziała z za wałów. Zamek był ze wszech stron opasany.

Na przeciw wrot stał na koniu tatarzyn, na żerdzi wetkniętą trzymając głowę ludzką. Stary ksiądz, który z wierzchu murów patrzył, poznał zsiniałą, trupa twarz pana swojego, i padł z płaczem na ziemię.

Z tą głową poganie zaczęli do koła zamku obiegać, a gdzie na wałach ukazał się lud, podnosili ją i nachylali.

– Patrzcie, oto pan wasz!

Rusinów, których z sobą wiedli, posłali naglić aby się im zamek poddawał. Odpowiedziano milczeniem. Mieszczanie zawarli się postanowiwszy bronić do ostatka.

Dzień, dwa, leżeli pod wałami Tatarzy, trzeciego ranka ich nie stało.

Wrota zawarte trzymano jeszcze przez dzień cały. Obawiano się podstępu i zdrady.

Czwartego dnia wysłano nocą na zwiady... Zagon odsunął się ku Odmuchowu i tam legł obozem.

Dopiero gdy z Bolesiska nawrócili ku Morawie, ostrożnie otwarto wrota, aby iść na pobożowisko i ciałom chrześcijańskich rycerzy pogrzeb sprawić pocziwy.

Leżały jeszcze kupami jak popadały trupy poległych, bez głów, bez uszu, porąbane i zeszpecone strasznie, odarte z odzieży, obłupione ze zbroi, z ciał przez kruki i wilków poszarpanemi.

Poznać ich już nie mógł nikt, więc do mogił składano je razem, a zwłoki ks. Henryka po szóstym palcu u nogi cudownie poznane, przewieziono do Wrocławia.

Pawlik z Janiczem dobili się do Krośna; oni tu pierwsi przynieśli straszną nowinę.

Janiczowi, gdy u wrot stanął, zabrakło serca by zwiastować matce i żonie, że syna i męża nie miały.

Gdy im furtę otwarto, zwał się przez nią Janicz, na wszelkie pytania odpowiadając tylko, że ranni uszli, bitwa była przegrana, a o losie księcia niewiedzieli.

Obstąpiono ich kołem, posiadali na ziemi ranni wszyscy, zboleli, niemi, na pytania potrząsając głowami.

W tem z boku rozwarły się drzwi kościelne. Stała w nich blada niewiasta w sukni szarej, zbrukanej, wychudła, z zapadłymi policzkami, w ręku trzymając biały posążek Matki Bożej.

Oczyma szukała przybyszów. Za nią jak cień sunęła się z oczyma zamkniętymi, wypłakanymi księżna Anna.

– Nie pytajcie ich – odezwała się księżna starsza – nie pytajcie z nadaremnią nadzieją, albowiem co przeznaczonem było, stać się musiało. Połała się krew chrześcijańska na odkupienie ziemi tej. Syn mój padł. Widziałam go z głową odciętą, leżącego na pobożowisku krwawem, widziałam we śnie i na modlitwie.

Cześć Ci i chwała, Panie, i dzięki Ci, żem wydała na świat takiego syna, który był dla mnie dziecięciem miłującym, a nie wycisnął mi łzy żadnej. Radowałam się życiu jego i szczęściu, ale raduję się śmierci pobożnej.

I nie wylawszy łzy jednej, księżna się modlić zaczęła.

– Matko, – odezwała się księżna Anna – O śmierci jego niema jeszcze wieści! Ocalał może gdy ci co z nim byli najbliżej, uratować się zdołali. Janicza poznaję! Ten nie odstępował go nigdy.

W tem przeze drzwi wcisnął się człowiek odarty i strwożony, do ziemi skłaniając się pozdrowił księżnę.

– Z Lignicy mnie posłano! – wyjąknął.

– Mów, – przerwała mu mężnie księżna Jadwiga – mów!

Posłaniec ręce tylko podniósł ku niebu i opuścił je ku ziemi milczący – słów mu zabrakło.

– Zginęli wszyscy? – spytała księżna.

– Zginęli!

Płacz rozległ się za księżną, która z surowym obliczem zwróciła się ku niewiastom za nią stojącym.

– Nie grzeszcie, opłakując śmierć rycerską i chrześcijańską!

– Książę, pan mój! – krzyknęła Anna wychylając się ku posłańcowi.

– Poległ, – rzekł krótko poseł.

Księżna zachwiała się i osłoniwszy twarz, siadła na ziemi, rękami obejmując głowę, księżna matka głosem mężnym odezwała się po chwili:

– Znaleźliście ciała poległych? syna mojego!

Poseł łkając i płacząc odpowiadać nie miał siły, księżna Jadwiga patrzyła nań z politowaniem...

Nieugięta boleścią zwróciła się ku kościołowi i szła z marmurową twarzą do ołtarza – dziękować Bogu.

Pawlika, Janicza i niemca zabrano do klasztoru, aby się z ran leczyli. Wszystko tu było w żałobie, po tej kłęsce, która ani jednej nie oszczędziła rodziny. Jęk i płacz słychać było od rana do wieczora, tylko Pawlik trzeciego dnia już, poobwiązywawszy rany, począł z izby się wykradać, aby narzekań Janicza i opowiadań innych ocalonych nadciągających tu nie słuchać.

Wracała mu ta szalona natura, niecierpliwa, gorąca, potrzebująca kipieć ciągle, śmiać się, dokazywać i bujać.

Gdy Janicz opłakiwał poległych, Pawlik ramionami ścisnął.

– Zdrowaś Marya za duszę zmówić, juści się należy – mówił doń – a wyplakawszy się myśleć o życiu. Ci co pomarli, oprócz mszy nie potrzebują już nic. Tatarzy przecie nie wysiekli wszystkich, zostanie choć trochę ludu.

Niewiasty i służba przy klasztorze, której powierzone było doglądanie rannych, najmilszym się stały towarzystwem Pawlika. Nie zważając na ich zakonne i półzakonne suknie, widział w nich tylko białogłowy, a do tych pociąg miał wielki.

Szczególniej nowicjuszka Lucja, dziewczę ze spuszczonej oczyma, z jasnemi włosy, z których ledwie się pukielek z pod osłony wykradał, wyrostek bojaźliwy, rumieniący się – wpadła w oko synowi Jazdona. Zwano ją po klasztorne Siostrą, chociaż wiek jej nie dozwalał złożyć ślubów zakonnych, i była tu tylko na próbie.

Gdy ze Starszą Gaudencją wsuwała się niosąc koszyk z jadem lub bielizną, Pawlik już był zawczasu na czatach, aby go od niej odebrać, pozdrowić cicho i coś szepnąć. Dziewczę w surowej karności klasztornej utrzymywane nie odpowiadało, ale mimowoli podnosiły się jej długie rzęsy i powieki, i wzrok padał na urodziwego młodzieniaszka dziecinny, niewinny a tak mówiący wiele, iż Pawlikowi mrówię przechodziło po kościach.

Gdy sam na sam z Janiczem siedział, choć ten, już ślub uczyniwszy, gotował się wstąpić do Dominikanów, a wszelkiej płoczej mowy unikał, Pawlik niemiłosiernie go drażnił, rozprowadając jak mu się ta Lucja podobała się okrutnie. Janicz surowo go gromił i łajał.

– Panu Bogu byś dziękował, – mówił, – żeś cudem uszedł śmierci, i to życie, które ocaliła opatrność, powinienbyś jak ja na usługę kościoła poświęcić – a tobie chłystku! ledwie z ran wylizawszy się trochę, już ladajakie myśli po głowie się zwijają. Już ci ta służebnica Boża w oko wpadła.. a toć świętokradztwo...

– Cóżem ja temu winien, – odpowiadał Pawlik – takim grzesznym mnie Pan Bóg stworzył, że niewieściego, młodego wzroku strzymać nie mogę, żeby we mnie niepocziwa krew nie zakipiała. Matka Gaudencja choćby na mnie patrzyła dzień cały – nic nie szkodzi, ale ta! ale ta!

– Milcz-że paskudny trutniu! – gromił Janicz.

Łajanie wcale nie pomagało. Pawlik coraz częściej wymykając się z izby, stał w progu i czatował, dziewczę łapał, drogę zachodził i zmuszał niemal do rozmowy. Napastliwy był nad wyraz wszelki.

Rany od strzał prędko mu się jakoś goić zaczęły, bo krew miał zdrową, i siły młode, byłby się już mógł śmiało czy do Przemankowa do ojca, czy gdzie w świat wybrać, ale ta nieszczęsna pokusa przy klasztorze go trzymała.

Było mu tu zresztą niezgorzej, bo księżna matka jak ubogich tak rannych i chorych z miłosierdziem pańskim we wszystko opatrywała, a roboty nie mieli żadnej. Janicz z kapelanem Lutoldem godzinami całemi o swem przyszłym powołaniu rozprawiał. Spierali się o to tylko, czy miał zostać synem Dominika czy Franciszka.

Pawlik, pusta głowa, za Franciszkiem był dla tego, że i książę Bolesław krakowski i księżna Jadwiga synów jego po kraju rozmnażać chcieli, łaskami ich obsypywali – a może też, iż więcej swobody mieli Franciszkanie, chodząc po świecie niż Dominikanie w celach klasztornych pozamykani.

Janicz zaś Dominika synem być wołał, bo pisma cokolwiek znał, nauki łaknął, a tej tu więcej potrzebowano.

Trzeci ich towarzysz, niemiec Luzman, który się też tam wylegał z ranami, a jako niemiec miał u księżnej łaski szczególne, nie mieszał się do niczego, jadł, pił, spał, do kościoła chodził, gdzie też drzemał w kątku, ale się mógł księżnie zalecić. Piwo klasztorne bardzo mu było do smaku. —

Pawlik w krótkim czasie wielu tu sobie przyjaciół i znajomych zjednał. Nie mówiąc już o siostrze Łucyi, którą powoli sobie zyskiwał, ukradkiem zawsze nastęrczając się jej po kilka razy na dzień, łaził do izby chromych i kaleków, wszędzie go było pełno. Pomiedzy żebrakami po swojemu sobie poczynał, największą dlań rozkoszą było jątrzyć ich przeciw sobie, swary ich oliwą podlewać, i doprowadzać do tego, aby się kłócili, zajadali i tłukli. Gdy tak wrzawę okrutną wywołał dopiero sam śmiejąc się wymykał i cicho w izbie wspólnej przysiadł, jakby niewiedział o niczem.

Trwało życie takie do Maja, więc niedziel cztery. Pawlik był już zdrow zupełnie, ale mu się jeszcze z Krosna w świat nie chciało.

Janicz uważał, że z izby się coraz częściej wysuwał, w podwórzach dłużej bawił – zaczynał być zadumanym i mniej mownym.

Jednego dnia stękać począł, że by mu już do domu potrzeba, a tylko tęgiego konia do podróży braknie. Koń, na którym przyjechał, na nogę nakuliwał.

Janicz mu swojego dać był gotów aby się go pozbyć, bo mu już płochością i prześmiewaniem się ze wszystkiego dokuczył.

Poczęły się targi o dodatek, stanęło wreszcie na umówionej liczbie groszy pragskich, które Pawlik dopłacić obiecywał. Lecz dostawszy konia, wyjeżdżać znowu mu nie było rażno. Zwlekał.

– Ojczy mój – mówił Janicz do kapelana Lutolda – wy tego młokosa przekłętego miejcie na oku. On świętego miejsca uszanować nie umie i za dziewczętami pono się włóczy. Żeby zgorzenia nie było.

Ksiądz się oburzył mocno.

– Co za myśl – zawołał – a toż tu są niewiasty pobożne, Bogu poświęcone, klasztor jest przecie, w którym duch księżnej naszej ożywia wszystkich...

Zmilczał Janicz i już więcej mówić się o tem nie ważył.

Jednego wieczora Pawlika długo w izbie nie było, a się ku nocy zabierało. W klasztorze szmer jakiś i bieganię posłyszał Janicz. Wpadł ktoś z czeladzi, obejrzał się po kątach i wybiegł.

Po chwili kapelan Lutold z rękami załamanymi, dysząc, przypadł do Janicza.

– Gdzie ten Pawlik wasz?

– Alboż ja wiem?

Uderzył się ksiądz po głowie i z izby nazad wypadł co żywiej.

Janicz domyśleć się nie mógł, co się stało. Luzman, który już po piwie spał, rozbudzony poszedł na zwiady.

Wrócił nie rychło, chmurny ramionami poruszając, kręcąc głową. Janicz dowiedział się od niego, że Pawlik konia pochwycił, ale i siostry Lucyi w klasztorze nie stało. Domyślano się, że dziewczę porwał i uwiózł z sobą.

Pogoń już na wszystkie strony rozesłano za niemi.

Słuchał osłupiały Janicz, bo mu się takie zuchwalstwo w głowie niemogło pomieścić. O godzinie w której tu zwykle wszystko spało, ruch jeszcze był wielki, niepokój straszny.

Wracali ludzie z pogoni nadaremnej, o zbiegłych ni śladu, ni słuchu. Dopiero po północy zawrzało coś u furty. Klimek, dworzanin ks. Jadwigi z dwojgiem czeladzi wysłany, prowadził związanego Pawlika, ale poraniony był, pocięty, bo mu się bronił wściekle.

Wzięto i siostrę Łucję, zaklinającą się, iż bez jej woli, usta jej zawiązawszy swawolny chłopiec na konia porwał i z łupem swym poczwałował w lasy.

Skępowanego tak jak stał posadzono winowajcę do kuny. Kara mogła go czekać sroga, bo księżna podobnych napaści, przebaczać nie była zwykła... Ludzie zuchwalstwu i zręczności z jaką było dokonane, wydziwić się nie mogli. Mówili wszyscy zgodnie, iż za to szyję powinien był dać.

Nazajutrz, gdy się właśnie coś o sędzie i wyroku spodziewano usłyszeć, przyszedł Luzman do Janicza, splunął i rzekł.

– Otóż go już nie ma!

– Co? dano go ściąć? – krzyknął Janicz – a spowiadał ze się?

Niemiec ręką zamachnął.

– Z kuny się po nocy wyłamał, łotr, o, już go nie kazano gnać.

Gdzieś przepadnie w lesie, bo się bodaj wyrwał bez broni.

W Przemankowie u łoża starego Jazdona, cudem się z Legnicy wydobywszy, siedział ksiądz Zula, opowiadając mu opłakane dzieje najazdu tatarskiego, gdy drzwi się otworzyły i – ktoś stanął w progu.

Nie mógł z razu poznać Zula kto był, bo strasznie odarto wyglądał przybylec.

Zbliżywszy się doń dopiero radośnie wykrzyknął, poznając, iż ten, którego za zginionego mieli, żyw przed nim stoi.

Stał się zarazem cud, bo stary Jazdon, który od lat tylu w połowie ciała władzy nie miał, na jedno oko nic nie widział, gdy o synu posłyszał i ruszył się aby go uściskać, rękę obumarłą podniósł, oko zagasłe otworzył, na nogi obie powstał...

Niucha i Mucha, którzy przygotowani byli go podnosić, przerażeni widokiem tym, rozbiegli się krzycząc...

I była w domu radość wielka, ale krótka. Stary ojciec, któremu Bóg dał oburącz dziecko uściskać, teźże nocy usnąwszy, na wieki zamknął oczy...

Radość wielka uleczyła go i zabiła...

Został tedy sam nieletni chłopiec panem włości wielkich i woli własnej. Zula, który pozostał przy nim, modlił się, aby teraz cugli sobie puściwszy, rychło nie przepadł.

Chociaż wychowańca swojego kochał bardzo, choć mu tu dobrze było i zaciszno, klecha po pogrzebie starego ledwie mógł kilka miesięcy przetrwać w Przemankowie. Istne się tu piekło poczęło,

z którego ani wyrwać się z razu nie miał siły, ani mógł patrzeć obojętnie na to, co się działo. Walczył z sobą długo poczciwy klecha, aż dnia jednego agendę pod pachę wzięwszy, parę swych ksiąg w rękę, pieszo z gródka wypadł o kiju, i już go więcej tam nie widziano, bo do Ś. Jędrzeja do Krakowa powrócił.

Koniec Prologu.

I

Ćwierć wieku upłynęło od opisanych wypadków, i ci co wyrostkami pamiętali Dobre pole pod Lignicą, mężami się stali, ci co starcami byli za pierwszej tatarskiej powodzi, do grobów dawno poszli spoczywać.

W wigilję Mateusza świętego, roku tego (1266), zmarł świętobliwy pasterz krakowski Prandota. Jako błogosławionego już za życia, czczono go uroczystym pogrzebem. Cuda się działy u grobu.

Po osieroceniu stolicy krakowskiej, nowego potrzeba było obierać pasterza i kapituła cała zebrała się dla narady.

W izbie nie zbyt obszernej, dosyć ciemnej, nim się jeszcze rozpoczęły rozprawy, z obecnych twarzy i postawy poznać było można, iż wiedzieli zawczasu, że zgodnego wyboru nie będzie.

Byli to po większej części duchowni lat średnich i podeszłych, twarze jednych wywiędłe i blade, drugich krągłe, i mocno zaognione, wychudli i otyli – przedstawiali dwa obozy, tych, co żywot wiodli duchowy zapominając na ciało i tych, którzy pielęgowali je, staranie o duszy zostawiając ostatniej godzinie.

Jednym z tych, około których najwięcej się skupiano, z wielkimi znakami uszanowania, był ksiądz Jakób ze Skarzeszowa, starzec już bardzo w lata podeszły, nie wielkiego wzrostu, niepozorny, szczupły, niziutki, z czarnymi ale mocno przerzedzonymi włosami, skromny i bojaźliwy.

Był on i dziekanem krakowskim i scholastykiem bamberskim, i kanonikiem wrocławskim i papieżkim, a króla czeskiego kapelanem. Uczony prawnik, człek pobożny, miał u ludzi sławę, a zachowanie i w kapitule głos przeważny. Ten milczący stał, nachmurzony, z głową spuszczoną, zafrasowany, a zarzucającym go pytaniami, odpowiadał tylko ruchami dosyć obojętnymi jakby zwątpił, iż tu się na co przydać może.

Ksiądz Gerard, proboszcz wiślicki należący do rumianych, mistrz Szczepan otyły i słusznego wzrostu a silny mąż, kanonik Wyszon, na którego okrągłym licu zdrowie bujno wykwiatało – na boku z sobą po cichu rozmawiali.

Inni księża zbierali się też w gromadki i szeptali. Niepokój już się dawał czuć w kapitule, choć jeszcze nie zasiadła.

Na ostatek odmówiono modlitwę do Ducha świętego i wszyscy miejsca zajmwszy czekali, aż się kto odezwie pierwszy.

Z oczów widać było, iż na księdza Jakóba ze Skarzeszowa, jako najstarszego wiekiem, przodującego dostojeństwem, oglądano się.

Więc gdy ten i ów potraçał z lekka, staruszek jakby zmuszony, odezwał się słabym głosem.

– Mili bracia! Wzywajcie Ducha Świętego, ten niech was natchnie.. Kościołowi potrzeba takich ludzi, jakim był świętej pamięci, za życia ubłogosławiony Prandota, i poprzednicy jego, wielcy kościoła obrońcy, wielcy kraju opiekunowie. Silnego męża obierzcie, takiego nam na nasze czasy potrzeba...

– Was by okrzyknąć! – przerwał mu jeden z bladych, uczeńszego nie mamy, pobożniejszym nikt być nie może, ani gorliwszym o wiarę. – —

Staruszek rękę podniósł i kończyć mu nie dał.

– Brzemię to nie na moje ramiona, – o grobie myślę nie o infule...

Ruch żywy ręki drżącej i głowy dokończył, czego ks. Jakób powiedzieć nie chciał. Stanowczo wyborcu odmawiał.

Rumiano wyglądający kanonicy spojrzeli po sobie wesoło, dając sobie znak porozumienia. Uśmiechali się.

Mistrz Szczepan, ów mąż poważny, otyły, wesół, pogodnej twarzy, dodał.

– Nam potrzeba pasterza w sile wieku, do tęgiej walki zahartowanego. Kościołowi zewsząd grożą księżęta nawet wrzekomo najpobożniejsi, jak ten pan nasz Bolesław. Potrzeba nam na stolicę żołnierza! żołnierza!

– Byle szermierzem Bożym był – odparł jeden z bladych z przekąsem. I znacząco odchrząknął.

– Jeśli głosować mamy, a zdania podzielone – wtrącił kanonik Wyszon, – mówmy wpród otwarcie...

– Tak! tak! otwarcie! – potakiwali mu drudzy.

– Zatem – przerwał Stefan głośno – ja mojego wnoszę i z innemi braćmi wielą. Mąż jest ducha wielkiego. Wprawdzie święceń niema, ale te otrzyma, gdy nań wybór wypadnie. Na Pawła z Przemankowa głosujemy. Pan jest możny, głowa otwarta, mąż żelazny.

Szmer się dał słyszeć, który różnie tłumaczyć było można. Wszyscy bledzi i wyschli kanonicy wstali jako jeden mąż. Kanonik Janko z oczyma ognistymi, ascetyczną twarzą, uderzył ręką niecierpliwie o ławę.

– Nigdy w świecie się na niego nie zgodzimy. Wilka chcecie wprowadzić do owczarni! Osławiony człek, na żołnierza zdatniejszy niż na biskupa, cielesnym chuciom brzydko ulegający, praw naszych kościelnych mało świadomy... Człowiek, rzeknę śmiało, zepsuty i niegodny...

Hałas powstał, zakrzyczano mówiącego.

– Potwarze to są, głosy nieprzyjaciół tego dostojnego męża! Mocnego ducha i dłoni człowiek... My za nim! za nim!

– A my przeciwko niemu! – odparli niemniej gwałtownie drudzy.

– Nie wiecie chyba, – wołał usiłując się dać słyszeć kanonik Janko – nie wiecie, jakie życie wiódł, ile popełnił gwałtów, ile rozsiał zgorzenia. Człek to, któremu suknia nasza nie przystała. Niech Bóg nas uchwyci od pasterza takiego.

Rumiani i opaśli zahuczeli tak, iż dalszą mowę kanonika stłumili. Na ławach i siedzeniach ruch powstał gorączkowy, mistrz Szczepan wołał:

– Ten lub żaden! ten, lub żaden! Gdy ksiądz Jakób nie chce, Pawła wybierzemy!

– Zlitujcie się, ludzie zaślepieni! – krzyknął z wysileniem Janko – kościołowi plamę na białą szatę jego rzucicie!

Rozwarł ręce jak do modlitwy.

– Panie! odwróć od nas ten srom i klęskę!

– Paweł z Przemankowa biskupem! – krzyczeli tłuści, – kapituły znaczniejsza część za nim.

– Chyba dla tego, że was karmił i poił zjechawszy tu umyślnie, żeście u niego dobrej myśli zażywali nad miarę, – wołał blade ksiądz Janko. – Na dusze wasze baccie, nie sprzedawajcie kościoła za półmisek soczewicy!

Rumiani i tłuści śmiechem go szyderskim głuszili.

– Nam tu nie świętoszków potrzeba, ale dzielnych jak ten człek! – krzyczeli głosy podnosząc.

– Nieuk jest! – przerywano.

– Co? nieuk? – podchwycił ksiądz Szczepan. – On nic nie umiejac więcej wymyśli i zgadnie, niż wszyscy co nad pergaminami i papierem zęby zjedli. Bystry umysł, serce gorące! Pójdzie on górą a z nim i biskupstwo nasze i prawa i dochody.

– Nigdy w świecie sprosnemi obyczajami skażonego gwałtownika, nie dopuścim na stolicę, – zawrzał ksiądz Janko. – Pół kapituły protest zanieś! Pójdziemy do Rzymu! Nie dopuścim go! Syzma będzie...

Zagotowało się mocno, kanonicy rozstąpili na dwa obozy przeciwne, krzyki za i przeciw wrywały się równie namiętne, powstało zamieszanie i wrzawa... Ruszano z miejsc na środek, a koryfeusze obu stronnictw gorąco się z sobą ucierać zaczęli.

Ksiądz Jakób ze Skarzeszowa siedział w swem miejscu z głową ku ziemi spuszczoną, w twarzy jego ból się malował i smutek przejmujący. Do sporu jednak czynnie mieszać się nie chciał.

Zapomniano prawie o starcu, a on zatopiony w myślach, może też równie odbiegł od kapitularza.

Nie było najmniejszej nadziei, aby do porozumienia przyjść mogło.

W końcu nadaremny sporem wszyscy byli znużeni; otyli ocierali pot z czoła, bladym usta zasychały. Narada skończyła się stanowczym rozłamaniem na dwa stronnictwa nieprzejednane, które sobie wojnę wypowiedziały.

Tymczasem noc nadeszła, kapituła rozpięchła się rozgorączkowana. Domowa wojna gotowała się w jej łonie.

Gdy jedni spiesznie ztąd wychodzili, rozprawiając jeszcze z sobą głośno w sieniach i podwórzu, coraz śmielej i zuchwalej, ksiądz Jakób pozostał w swej ławce, czapeczkę tylko wdział na głowę.

Wiek jego, rozum, doświadczenie, czyniły go na wszelkie ludzkie słabości wyrozumiałym. Co drugich rozjątrzało, dla niego zwykle wytłomaczonym było. Litował się tylko.

Patrzył na wychodzących, sam już zwolna przygotowując się do wyjścia, gdy ujrzał przed sobą stojącego kanonika Janko, z głową na piersi spuszczoną, rękami na piersiach skrzyżowanymi. Brwi miał ściągnięte i usta zagryzione. Był to mąż surowy, nieustraszonego ducha.

– Źle czynicie, – odezwał się otwarcie do staruszka. – Przebaczcie mi, że do was odzywam się tak zuchwale! Źle czynicie odrzucając infułę! Należała wam ona! a wy jeszcze jej potrzebniejsi niż ona wam. Choćby dla tego należało po nią rękę wyciągnąć, aby jej nie pochwycił kto inny – niegodny!

I pięść jedną groźnie podniósł do góry.

– Połowę kapituły spoił, nakarmił, drugą obietnicami ludzi... Wszystkich obalamucił człowiek ten, który będzie nam zakałą. Paweł z Przemankowa! Biskupem! – dodał ironicznie – toćby równie na Lucypera i Belzebuba głosować mogli! Ojczy Jakóbie! ratujcie! póki czas!!

– Janko miły – rzekł łagodnie ksiądz Jakób – nie unoście się. Nic to nie pomoże. Niedoścignione są wyroki Boże! My we dwu czy w kilku nie przemożemy kapituły! Oni go obiorą!

– Tośmy zginęli! – namiętnie wykrzyknął Janko.

– Ale nie! – rzekł zimno ksiądz Jakób. – Przez jednego człowieka ani kościół ani diecezja zginąć nie może.

Wybiorą – różgę Bożą na samych siebie...

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.